

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 4 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

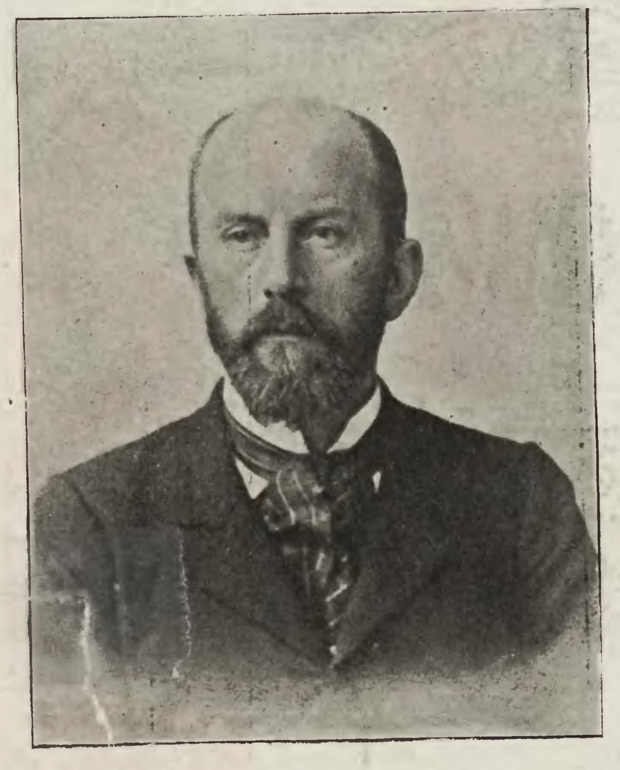
Rok III. Kraków, 10 lutego 1906 r. Nr. 6.

Tragedya rodzinna we Lwowie.

(Treść na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Stary teatr w nowej szacie: Architekt Tadeusz Stryjeński, jeden z twórców odnowienia gmachu starego teatru w Krakowie.

Tragedya rodzinna we Lwowie.

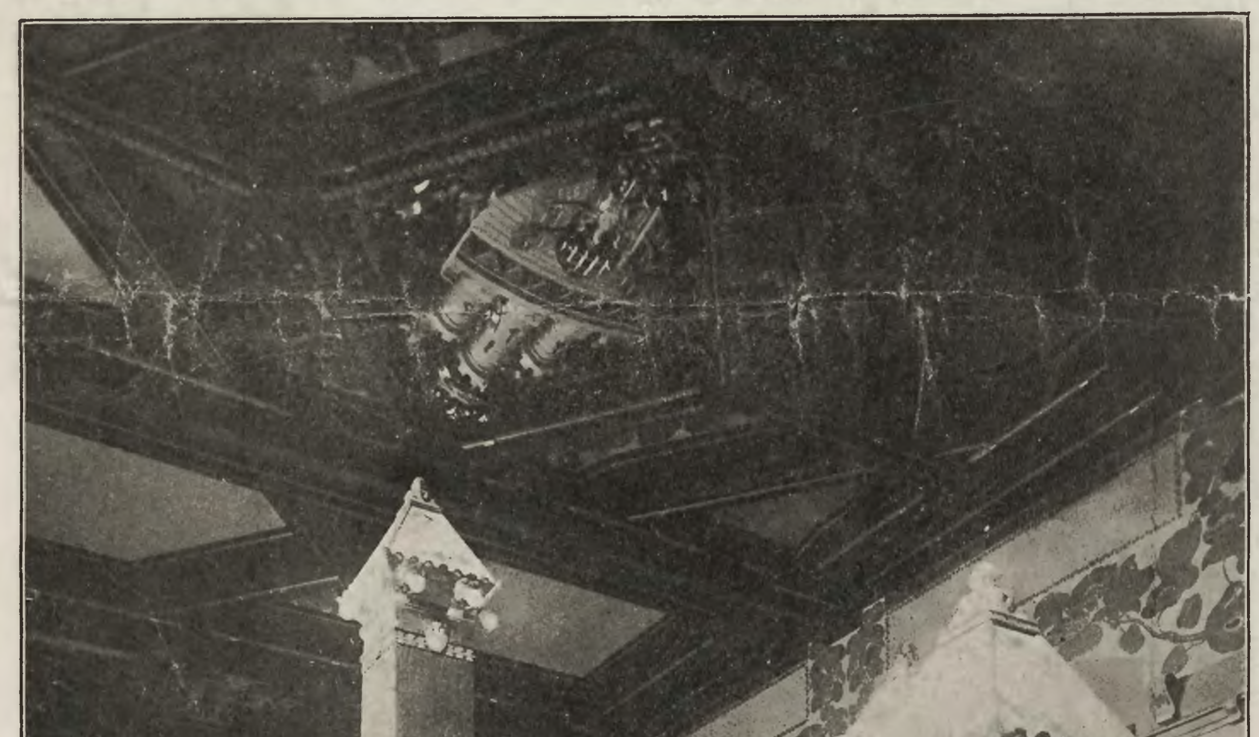
(Do illustracyi tytułowej).

Wstrząsająca swą grozą tragedya rodzinna rozegrała się w ubiegły czwartek we Lwowie, wstrząsająca nietylko swemi następstwami, bo śmiercią dwojga osób, lecz samą okropnością czynu. Oto Wincenty Mielnik, człowiek 50 letni, kucharz z zawodu, zastrzelił z rewolweru swą żonę, kobietę 48 letnią, a następnie sobie odebrał życie.

Mielnikowie zajmowali szczupłe mieszkanie przy ul. Trzeciego Maja l. 17, wraz z czworgiem swych dzieci, trzema dorosłymi synami i 15 letnią córką. Mielnik był człowiekiem nie dużej wartości moralnej, prowadził się nagannie, pił, pracy nie lubił, tak, że troska o utrzymanie domu spadała wyłącznie na Mielnikową, kobietę bardzo poczciwą i pracowitą, która praniem zarabiała na życie swoje i całej rodziny. Przychodziło też w domu Mielników bardzo często do zamieszek, tem bardziej, że Mielnik podejrzywał żonę zupełnie bezpodstawnie o romanse. W dniu krytycznym, kiedy wszyscy domownicy się rozeszli, a pozostali tylko oboje Mielnikowie, przyszło między nimi do gwałtownej sceny, podczas której on celnym wystrzałem z rewolweru położył żonę trupem na miejscu, a następnie strzelił sobie w głowę. Niedługo potem nadszedł do domu jeden ze synów, a ujrzawszy okropny widok, zaalarmował sąsiadów. Wezwano niezwłocznie pogotowie ratunkowe, pomoc jego jednak nie na wiele się przydała, gdyż Mielnikowa leżała już bez życia, a on dogorywał i przewieziony do szpitala, w godzinę potem życie zakończył. Do przytomności nie wrócił, to też wraz z nim poszła do grobu tajemnica, która wstrząsający ten wypadek osłania. Nikt nie dowie się, jaka scena poprzedziła śmierć tragiczną obojga małżonków, nikt też się nie dowie, jaka przyczyna popchnęła Mielnika do tego okropnego czynu.



Stary teatr w nowej szacie: Architekt Franciszek Mączyński, jeden z twórców odnowienia gmachu starego teatru w Krakowie.



Fotografował T. Jabłoński, Kraków.

Stary teatr w nowej szacie: Klatka schodowa w świeżo odnowionym gmachu starego teatru w Krakowie.

Stary teatr w nowej szacie.

W dziejach kultury Krakowa złotą kartę ma „stara buda na placu Szczepańskim".

Tak przezwano dawny budynek teatralny, w którym dramat polski przeżył w Krakowie czasy najświetniejsze, że przypomnimy choćby okres Koźmianowski.

Nie myślimy na tem miejscu czynić porównań pod względem artystycznym i literackim.

Zresztą z konieczności musiał być innym teatr krakowski za Pawlikowskiego i jego następców w nowym pałacu na pl. św. Ducha, aniżeli za ich poprzedników w dawnej ruderze na pl. Szczepańskim.

Ale starsi Krakowianie mimo wszystko z tęsknotą i zachwytem zarazem wspominają po dziś dzień minione czasy „starej budy", w której narodziło się i długo nam błyszczało tyle gwiazd wielkich sztuki polskiej.

To też przywiązany serdecznie do tych starych murów Krakowianin z radością spogląda dziś na narożnik ul. Jagiellońskiej i Szczepańskiej, gdzie miasto po latach przystroiło w nowe a piękne szaty stary, bo z XVI wieku pochodzący, ostatnim razem w 1840 r. przebudowany gmach, w którym przez lat kilkadziesiąt była siedziba teatru i odbywały się słynne reduty.

Obecna przebudowa była radykalna, gdyż prócz 4 murów zewnętrznych nic nie pozostało, to też i plan architektoniczny uległ zmianie — ku wielkiemu zadowoleniu ogółu. Jakkolwiek z zewnątrz (jak to widzimy na naszej rycinie) gmach wygląda nowocześnie, nic w tej prześlicznej sylwecie nie razi oka widza otoczonego staroświecczyzną Krakowa. Kto zaś jeszcze nie poznał gmachu wewnątrz, ani się spodziewać nie może, co za cacka czekają go na każdym kroku.

Na parterze prócz dużych sklepów i kasy biletowej mieści się ogrzewana garderoba na 800 osób i restauracya z osobnem wejściem.

Pierwsze piętro przeznaczono całkowicie na bale, odczyty i koncerty.

Przedewszystkiem zwraca uwagę piękna klatka schodowa (dajemy osobną tu jej podobiznę), foyer ze staroświeckim stropem belkowym domów krakowskich, z herbem miasta pośrodku; znajdujemy tu wszelkie wygody, panowie mają więc swoją palarnię, panie salonik dla siebie. Stąd wejścia wygodne do sali głównej z galeryami, (którą przedstawia trzecia nasza illustracya) oraz do sali mniejszej bez galeryi, t. zw. odczytowej, przypominającej rozmiarami salę Saską, podczas gdy główna sala balowa i koncertowa ma wielkość sali naszego Sokoła, lecz z galeryami na 3 ścianach.

Drugie piętro urządzono wyłącznie na potrzeby Tow. Muzycznego i Konserwatoryum (sala prób mieści 150 osób). Urządzenie wewnętrzne odpowiada ostatnim wymaganiom sztuki technicznej. Stropy niesłychanej wytrzymałości są połączeniem

żelaza i betonu cementowego. Sala główna mieści 600 osób w krzesłach i 200 na galeryach. Wszędzie zaprowadzono ogrzewanie ciepłem powietrzem, wentylacyą elektryczną; gmach cały oświetlony jest wewnątrz tylko elektrycznemi lampami żarowemi, które w dużej sali np. zgrupowano nie w żyrandol środkowy, lecz w kilku na suficie rozmieszczonych, lepiej światło rozdzielających. Dekoracyę tej sali wykonał art. rzeźbiarz J. Gardecki (uczeń Laszczki); różne fryzy z akacyj, z róż białych i z motywów krakowskich zrobiono według kartonów E. Dąbrowy. Atrakcyą restauracyi będzie urządzenie wewnętrzne, które zapewne otrzyma do wykonania Tow. polskiej sztuki stosowanej. Byłyby to stoły, krzesła, kredensy itp. meble, oraz dekoracye ścian i sufitów, wykonane według projektów artystów, grupujących się w tem młodem towarzystwie, a głównie koło osoby energicznego wiceprezesa, p. J. Warchałowskiego. Urządzenie to niesłychanie oryginalne i nowe, a znacznie tańsze od obecnie wyrabianych i mało gustownych.

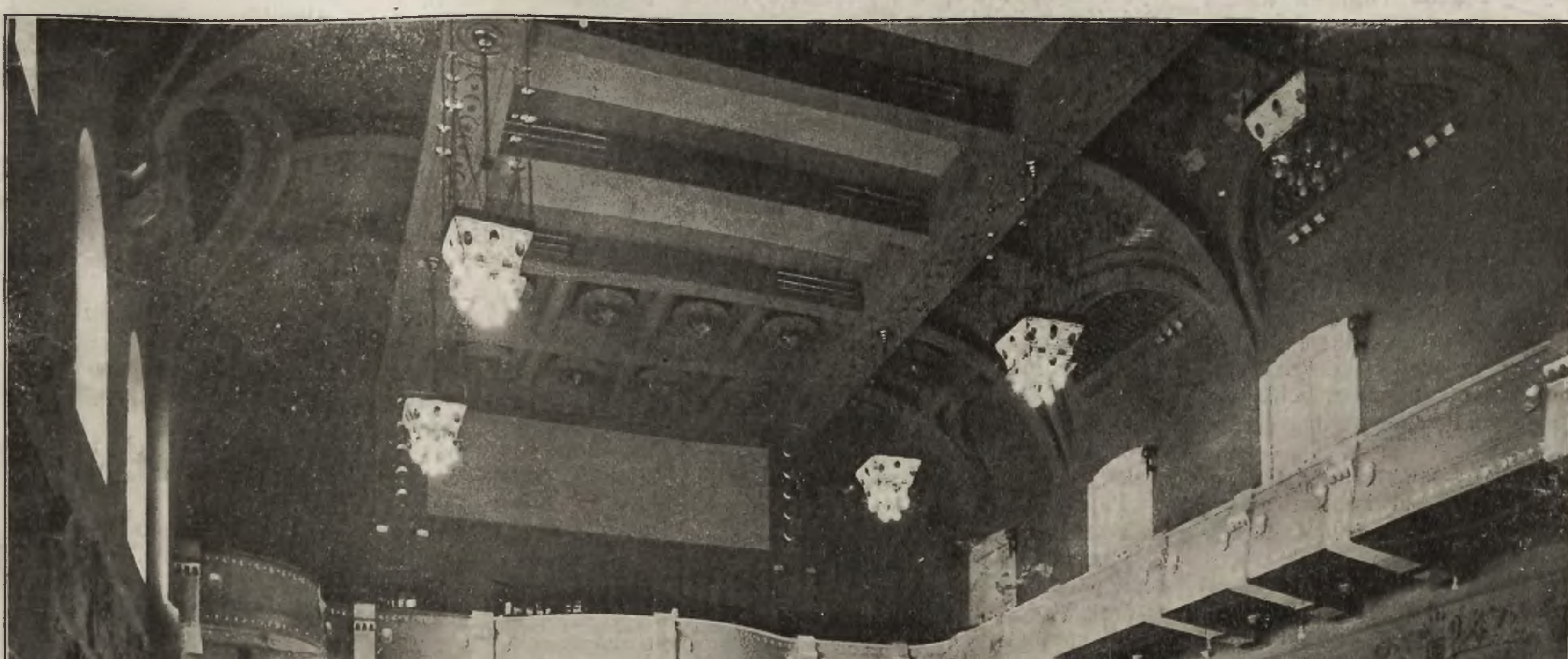
Prawie wszystko w tym prześlicznym gmachu, który stał się nową ozdobą Krakowa, zrobiono siłami krajowemi, kosztem 300.000 koron (bez mebli) w ciągu półtrzecia roku.

Nowe a niezwykle piękne szaty starego gmachu są dziełem spółki znanych architektów naszych: Franciszka Mączyńskiego i Tadeusza Stryjeńskiego, (których też obu podobizny załączamy). P. Mączyński (ur. w 1874 w Krakowie, wykształcony przeważnie w Paryżu) znany jest z licznych prac konkursowych, ze wspomnimy pałac Tow. Sztuk pięknych w Krakowie i przyjęty projekt Muzeum przemysłowego również dla naszego miasta; do spółki zaś z p. Stryjeńskim tak znane i uznane gmachy, jak Hotel Bristol w Warszawie, gmach Izby handlowej na rogu Długiej w Krakowie, kościół i klasztor Karmelitanek bosych na Łobzowskiej, to znów budowany teraz we Lwowie kościół św. Elżbiety — i wreszcie tak prześlicznie odnowiony stary teatr krakowski, w którym obecnie znajdzie siedzibę Tow. muzyczne i wygodny przytułek każdy koncert, odczyt, bal i wogóle wielkie lub uroczyste zebrania towarzyskie.



Fot. T. Jabłoński, Kraków.

Stary teatr w nowej szacie: Widok zewnętrzny świeżo odnowionego gmachu starego teatru w Krakowie przy placu Szczepańskim na rogu ul. Jagiellońskiej.



Fot. T. Jabłoński, Kraków.

Stary teatr w nowej szacie: Widok głównej sali balowej i koncertowej w świeżo odnowionym gmachu starego teatru w Krakowie.

* * *

Warto tu zwrócić uwagę naszej publiczności na osobliwy kamień, rzucający się w oczy przechodnia przy wejściu od ul. Jagiellońskiej w cokole. Znaleziono go przy ostatnich robotach murarskich, a świadczy on, że w r. 1770 odnawiano jeden z trzech starych domów od XVI w. tu stojących, z których przed sześdziesięciu laty budowniczy Kremer utworzył audytoryum i sale redutowe

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

37 Ciąg dalszy.

— Tak jest.

— Rano przyjedziesz tu z powrotem.

Zapewniwszy sobie tak kontrolę nad wyjazdem Olgi, rotmistrz poszedł do restauracyi i kazał podać piwa. Siadł i zagłębił się w smutne rozmyślania. Obojętność Olgi zaczęła go zniechęcać, męczyło go to bezskuteczne staranie, niecierpliwiła go maska dobroci i uległości, którą był zmuszony nakładać przy Oldze... Chyba rzucę ją! Czy niema dziewcząt na świecie?...

Są, przecież od roku już ma metresę, bardzo ładną, wszyscy mu jej zazdroszczą... drogo kosztuje, to prawda, ale co za szyk! Brunetka, wysmukła, z figurą jak wyrzeźbioną, wesoła, rozmowna... no, i wierna, bo wie, że jest pilnowana.

A jednak ona go nie zadawala, ta Olesia... Co za dziwny zbieg liter: Olga i Olesia! Olga... ach, gdyby złamać jej dumę, gdyby ona wodziła za nim rozkochanemi oczyma, gdyby była pokorną i cichą z wielkiej miłości i przywiązania, gdyby liczyła godziny i minuty, czekając na niego, i rzuciła mu się sama w objęcia... Gorący dreszcz pożądania i rozkoszy przeszedł po nim... O tak, on ją kocha, jedną i jedyną, i ona musi być jego, chociażby przyszło poświęcić dla niej wszystko i wszystkich...

A gdyby ją zawikłać w sprawę polityczną... albo jej ciotkę... ojca, i zmusić ją w ten sposób... Uśmiechnął się.

Nie... ona nie kocha tak ciotki, ani ojca, aby zlękła się i zdała mu się na łaskę i niełaskę. A sama... kto wie, czy nie uprze się i nie zechce więzienia, bo otoczy ją aureola męczenniczki... zresztą on, rotmistrz żandarmeryi, nie mógłby się z nią ożenić, jako ze skompromitowaną politycznie... to plan chybiony.

Trzeba tylko z ciotką nadrobić przez Lednoja i czekać cierpliwie, a on umie być cierpliwym, jako żandarm.

I co za przyjemność może Olga znajdować w towarzystwie ludzi tak źle wychowanych, którzy, korzystając z tego, że z powodu Olgi on musiał się z nimi poznać, zaraz wywlekli swe żale, gorycze, pretensye do rządu i zachowywali się niewłaściwie i wyzywająco nawet. Sama Olga musiała zauważyć, jaka olbrzymia różnica jest pomiędzy nim, grzecznym, uprzejmym, delikatnym, a pomiędzy tą hołotą.

Ten Bolesław Żalecki, — zapisał sobie nazwisko — wyglądał podejrzanie, to on chodził po Olgę, on dawał kwiaty, on jechał z nią... Niepodobna przypuścić, by taki młody, znając Olgę, w niej się nie kochał; i niechby się kochał, byle nie był kochany. Ale to niemożliwe, czyż mógłby się jej taki gbur podobać, którego nie przyjętoby w żadnym salonie! Trzeba jednak tę sprawę zbadać i dowiedzieć się o nim bliższych szczegółów. On ma w sobie coś z rewolucyonisty, ale który z Polaków tego niema? — uśmiechnął się szydersko.

Nadszedł pociąg do Warszawy i rotmistrz, poleciwszy jeszcze raz swym podwładnym uwagę i przesłanie mu raportu nazajutrz, wsiadł do wagonu.

Olga i Bolek weszli do ogrodu pełnego kwiatów, róż i krzów jaśminu i otoczyła ich ta cisza wiejska, przepojona wonią kwiatów, przesiana złotawemi blaskami promieni słonecznych, i po męczącem życiu spiskowców, w ciągłej trwodze i obawie nietylko o siebie, ale o partyę swoją, doznali rozkosznego uczucia spokoju, bezpieczeństwa, pogody. Zdawało się im, że po za sobą, przed tem ogrodzeniem, zostawili wszystko, co ich męczyło, nękało, trwożyło.

Usiedli na ławeczce pod cienistym orzechem, patrzyli w ogród, błyszczący barwami kwiatów, cichem brzęczeniem pszczół, na grę promieni przetęczających się pomiędzy liśćmi, i było im tak dobrze, słodko, rozkosznie, że nie mówili do siebie, aby nie spłoszyć uroku tej chwili, ręce ich bezwiednie połączyły się i byli jako dwoje dzieci, które, wymknąwszy się z domu, skryły się bez obawy i trwogi, że ich niewinną zabawę przerwie surowy i łający głos dozorczyni.

— Tak mi tu dobrze — szepnęła Olga — że chciałabym tak usnąć i nie przebudzić się więcej.

— Wiesz, Oldziu, gdy spełnimy nasze obowiązki, osiądziemy na wsi, w takim ogrodzie, i będziemy tacy szczęśliwi...

— Ja już teraz nią jestem — spojrzała na niego oczyma, promieniejącemi miłością i zaufaniem.

— Kocham cię, kocham — szepnął i całował jej rękę.

W ogrodowej furtce stanął gospodarz i zawołał:

— Nie gniewacie się chyba na mnie, że was samych zostawiłem... jakże wam się podobał mój ogród?

— Prześliczny! Tak tu cicho, spokojnie — odpowiedziała Olga.

— Niepotrzebnie się pytałem — zaśmiał się — wam młodym i wspólne więzienie wydałoby się „prześlicznem“. Gdzież macie się zejść z przyjaciółmi?

— Wskazałam im las — podniosła rękę w kierunku Milanówka — tak, jak pan radził.

— Hm... źle się obliczyłem. Zazdrosny rotmistrz wydał prawdopodobnie polecenie śledzenia was przez żandarmów na stacyach. Nie będą was aresztowali, ale dowie się, kiedy i z kim pani wracała.

— Tak, to możliwe — dodał Bolek.

— Jeśli chcecie tego uniknąć, idźcie do Jaktorowa, stacya za Grodziskiem, i tam wsiądźcie do pociągu.

— Daleko stąd? — spytała Olga.

— Głupstwo! Pięć wiorst.

— Mojem zdaniem — rzekł Bolek — to rada bardzo dobra, jeśli chcecie, Olgo, uniknąć śledztwa. Następnie wysiądziemy na stacyi Włochy i pieszo dojdziemy do miasta.

— Bardzo dobrze — zaśmiała się — będzie to podróż z przygodami, trzeba dać znać Helenie — wstała z ławki.

— Ja pójdę, a wy odpoczniecie — ofiarował się Bolek.

— Zaraz... zaraz — uśmiechnął się gospodarz — gdzie was czekają tamci?

— Na skraju lasu i mamy wołać: „Swój!“

— Bardzo dobrze — i zwracając się w stronę podwórza, zawołał: Walek! Walek!... to syn naszej służącej.

Przybiegł chłopak może dziesięcioletni, opalony blondynek i patrząc wesołemi, rozumnemi oczyma:

— Czego? proszę pana.

— Pójdziesz smyku pod las Milanowiecki, wiesz gdzie?

— O, jej! I jak jeszcze!

— Na skraju lasu będziesz wołał: Swój! kilka razy, póki nie odezwie się do ciebie jedna pani i pan. Powiesz im, żeby przyszli tu, do panny Olgi. Zrozumiałeś?

— Małe dziecko zrozumiałoby — zaśmiał się — już idę.

— Zaczekaj! — zawołał za nim Bolek — może spotkasz ich w drodze, panna w jasnej sukni, ciemne włosy, a pan z brodą, wysoki, jeszcze młody... zagadaj do nich: „czy swój?“

— A to ci awantura! — zawołał z wielką radością i pobiegł.

— Zaczekamy tu, póki oni nie przyjdą — rzekł gospodarz — i pozwólcie staremu, że pochwalę się szparagarnią i drzewami owocowemi.

Zaczęła się wędrówka po ogrodzie i opowiadania o różach, wilgoci, kłopotach ze szczepami itd.

Zanim skończyli przegląd ogrodu, usłyszeli dziecinny śmiech Walka, który, idąc przodem, z miną tryumfalną prowadził do ogrodu Helenę i Walczaka.

Po zaznajomieniu się poprosił gospodarz wszystkich na zsiadłe mleko do pokoju.

Otrzymawszy dokładne wskazówki, jakiemi drogami polnemi dostaną się do Jaktorowa, pożegnali serdecznie gospodarza domu i wyszli.

W czasie drogi, gdy rozmowa przeszła na Bolcewa, Olga powiedziała im o sposobie otwierania teczki rotmistrza, w której chowa tajne papiery żandarmskie.

— Gdyby się dostać do niej!? — uśmiechnął się Bolek — dopiero wzrósłby wpływ „Wolności“ i jej znaczenie.

— Myślałam już o tem — powiedziała Olga — i pilnie śledziłam za teczką, ale on tylko w jakichś szczególnych wypadkach ma ją przy sobie.

— Zapewne jak idzie z raportem do przełożonych — dorzucił Walczak.

— Albo gdy wybiera się polować na socyalistów — zaśmiała się Helena.

Bez żadnych przeszkód i przygód doszli z Włoch do Warszawy i Olga była w domu o dziewiątej godzinie wieczorem.

Zmęczona całodziennym spacerem i wrażeniami dnia, kazała Sabince słać łóżko.

— Czego jesteś zmartwiona, Sabinko? — spytała ze współczuciem, patrząc na przygnębioną twarz pokojówki.

— Alboż nie mam czego? — powiedziała żałośnie — jaśnie pani wyjeżdża i wymówiła mi służbę.

— Nie wiedziałam o tem... czy i inni odprawieni?

— Kucharka i Jan zostają, tylko mnie to spotkało na same letnie miesiące.

— Ileż ty bierzesz, Sabinko?

— Osiem rubli miesięcznie... Teraz pójdę do rodziców i będę im ciężyła, póki miejsca nie znajdę — westchnęła.

— A ileż trzebaby ci na życie przez miesiąc?

— Hm... tak, w domu, przy mamie możeby starczyło dziesięć, a najwyżej dwanaście rubli.

— Więc wiesz, Sabinko... dam ci miesięcznie dwadzieścia rubli, ale pod warunkiem, że wrócisz do nas, gdy przyjedziemy.

— O, moja złota, moja śliczna panienko — przypadła do jej rąk — takam wdzięczna... ale to za dużo! Jak mi panienka da piętnaście, wystarczy dla mnie, a do panienki zawsze wrócę z największą ochotą.

— Dosyć dziękowania, Sabinko... rzecz skończona... a powiedz pani, że zaczekasz ze służbą do naszego powrotu i nic nie mów, że ja ci to radziłam.

— Nie powiem i słowa.

— Dobranoc, Sabinko, jestem zmęczona.

Na drugi dzień przyszedł rotmistrz, aby panie przed ich wyjazdem na wyspę Wight pożegnać. Wiedział już od Jana, że Olga wróciła do domu o dziewiątej, a nieuwadze żandarmów i swemu roztargnieniu przypisywał winę, że nie spostrzeżono jej w pociągu.

Korzystając ze sposobności, gdy Olgi nie było w salonie, przysunął się do Sudkiewiczowej i zaczął:

— Naprawdę, ja szaleję z miłości do panny Olgi i liczę na przyrzeczenie pani szanownej, że zechce ją wybadać, czy wogóle mogę mieć nadzieję pozyskania jej wzajemności?

Sprawa miłości i cierpień nią spowodowanych zawsze rozczulała Sudkiewiczową, a w tym wypadku, gdy spowiadał się jej taki przystojny i wzięty kawaler, poczuła wielkie współczucie i już miała na ustach słowa pociechy i nadziei, gdy przypomniała sobie jego badanie w kwestyi depeszy, spoważniała i rzekła:

— O ile wymiarkowałam Olgę... ona nie ma antypatyi do pana... ale razi ją stanowisko pana, zawsze podejrzewa, że pan i ją będzie śledził i badał jak innych przestępców...

— Ja!? Pannę Olgę!? Niechże zginę, jeśli ją będę podejrzewał, skoro zostanie moją żoną.

— Postaram się jej to wytłómaczyć.

— Całe życie będę czcił i wielbił panią, tylko przemów za mną... Zresztą, gdyby się panna Olga upierała przy swej niechęci do munduru żandarmskiego, gotów jestem dla niej przejść do służby administracyjnej, a awans dla nas, dla żandarmów nie jest trudny.

— Dobrze, powiem jej.

Wtem wszedł rotmistrz Lednoj, witał się głośno i wesoło, prawiąc komplementy i pani i Oldze, która przyszła do salonu.

Sudkiewicz, któremu nie bardzo podobały się umizgi rotmistrza Lednoja do jego żony — powiedział z przekąsem:

— Ej, nie byłoby wam tak wesoło na Dalekim Wschodzie. Tam krew nasza, ruska, leje się bez ustanku i końca nie widać.

— Leje się nasza, leje się japońska, ale zawsze nas więcej i gdy zbliżą się do nas, zasypiemy ich czapkami, — zaśmiał się.

— Tak mówi się od początku wojny — dogadywał Sudkiewicz; — ale zwycięstwa niema i niema... a Rosya czeka, niecierpliwi się, narzeka na wojsko, na administracyę.

— Pokrzyczą i przestaną — odezwał się Bolcew — i dziwi mnie, że tak mało ludzi rozumie genialny plan naszego wielkiego wodza.

— I jakiż on? — spytała Olga — bo dotychczas były same klęski.

— No, klęski!? To już przesada, — zawołał Lednoj — mała potyczka, aby wciągnąć wroga i otoczyć.

— Małe potyczki? — uśmiechnęła się z ironią. — Nad Jalu bitwa pierwszego maja i do 20.000 zabitych, pod Wafanku znów pobili Japończycy Rosyan i zabitych przeszło 15.000... ładne małe potyczki, panie rotmistrzu; i w dodatku Port Artura oblężony, a flota zamknięta.

— Jednak pani, panno Olgo, śledzi przebieg wojny i myśli o niej, — mówił z uznaniem Bolcew, — otóż wiem od pułkownika sztabu generalnego, że bitwy te były nierozstrzygnięte, a my cofnęliśmy się w porządku na dalsze obronne pozycye, aby wciągnąć Japończyków w podwójny ogień

Z jednej strony stoimy w Hajczu, udając, że chcemy iść do Korei, a z drugiej obsadziliśmy wąwozy Janelińskie i uczyniliśmy je niezdobytemi; tam pułapka na nich — śmiał się radośnie, zacierając ręce.

— Daj Boże, daj Boże — westchnął Sudkiewicz — byle dobre zwycięstwo, bo coraz trudniej rządzić w kraju.

— Wszystko przycichnie, gdy wrócą nasze zwycięskie wojska, — upewniał śmiało Bolcew — teraz te pismaki gazeciarskie w Petersburgu i Moskwie pozwalają sobie dużo, krytykują, skarżą, ośmieszają rząd i dziwno, że raz cenzura nie położy temu końca. Przynajmniej u nas, w Prywiślańskim kraju cicho.

— Bo nasz stary mądry — chwalił Sudkiewicz — zakazał przedruków z pism rosyjskich, bo słusznie powiedział: Polacy, to pochopny naród do nadziei i czytając ostre wycieczki ruskich pism, spodziewaliby się jakichś zmian. Tem przykrzejszy spotkałby ich zawód; bo system nie zmieni się w tym kraju, póki ja żyję.

— Dłużej klasztora, niż przeora — zaśmiała się Olga — a generał gubernator stary.

— Reformy będą na pewno — upewniał Bolcew — byle z wojną skończyć.

— To i niedługo czekać — zawołał Lednoj — jeszcze tydzień i dwa, a śladu nie będzie po Japończykach. Wiecie państwo, jeden z moich towarzyszy przywiózł mi piosneczkę, którą dziś cała Rosya śpiewa, cudowna!

— Jaka? Jaka? — zawołała pani — umie ją pan?

— Nauczył mnie kolega i jest taka prawdziwie duchem i natchnieniem nasza, że aż rozkosz bierze. Czuć w niej tę spokojną siłę olbrzyma, który ostrzega zanim uderzy i zabije.

— Tak zaśpiewaj rotmistrzu — zachęcał Bolcew przyjaciela — rozraduj duszę ruską, stęsknioną za ojczyzną.

— I ja proszę — szepnęła pani, patrząc mu w oczy z miłością.

— Kolacya podana — meldował Jan.

— To już po kolacyi musicie nam zaśpiewać — rzekł Sudkiewicz, wstając z fotela.

Po wystawnej kolacyi, gdy przeszli do salonu, nie dał długo się prosić rotmistrz Lednoj, i usiadłszy do fortepianu zaśpiewał ładnym barytonem:

„Ej, mikado, budiet chudo,
Pierebiom twoju posudu...
Razniesiom do tła!

Tiebie s nami dratsia trudno,
Czto ni dień, to gibniet sudno;
Sławnyje dieła?!

Ty rozstańsia-ka s miecztami
Szutit' s naszymi portami,
Budiesz sam bez nich.

Leziesz s duru k'Port-Arturu,
Potrepały twoju szkuru
My w jedinyj mig!

Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!*)

Czułe spojrzenia, serdeczne podziękowania były nagrodą śpiewaka, tylko jedna Olga na bezpośrednie pytanie Sudkiewicza odpowiedziała z chłodną grzecznością:

— Pan Lednoj ma głos przyjemny.

Nie zauważył tego Bolcew rozentuzyazmowany pieśnią i rzekł do pań:

— Ta pieśń, to śliczny podarunek dla pań, ona będzie was pocieszać, gdy podli Anglicy szczerzyć będą swe żółte zębiska, czytając kłamliwe doniesienia o naszych wojskach.

— Pan ma słuszność — odpowiedziała Sudkiewiczowa i zwracając się do śpiewaka:

— Panie rotmistrzu, jeszcze raz ostatnią zwrotkę dla mnie:

Posłuszny zaśpiewał:

„Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!“

I pani Sudkiewicz wyjeżdżając nazajutrz kuryerem, gdy z okna wagonu żegnała męża, zanuciła półgłosem:

„Bud' umnieje: pokornieje
Wylezajka iz Koreje
Bieregi swoj flot!“

XVII.

Olga wróciła z podróży w drugiej połowie września, a umówiwszy się listownie ze Żaleckim, iż spotka się z nim u Helenki, spieszyła do niej, ciesząc się, że nareszcie ujrzy swoich przyjaciół po tak długiej rozłące.

Zastała Helenę samą, przybladłą, z oczyma podkrążonemi, która witała ją z radością skrępowaną.

— Co ci, Helenko? Chorowałaś?

— Nie, przeciwnie, zdrowa jestem i bardzo się ucieszyłam, gdy Żalecki powiedział mi, że wracasz nareszcie.

Olga przyglądała się siedzącej uważnie, widziała zmianę w niej, ale nie umiała jej określić.

— Cóż u was słychać? nowego? dobrego?

— Wszystko dobrze — uśmiechała się — drukarni nie odkryto. „Wolność“ po twoim wyjeździe niema



...gdy przeszli do salona, nie dał długo się prosić rotmistrz Lednoj, i usiadłszy do fortepianu zaśpiewał ładnym barytonem....

tak imponujących wiadomości urzędowych, ale nadzwyczaj czytana i rozchwytywana. Dzięki tajnej prenumeracie, rosną szybko nasze fundusze.

— Któż zbiera?

— Do zeszłego tygodnia ja chodziłam, ale teraz mi trudniej — zarumieniła się — i przeznaczono innego towarzysza.

— Coś ukrywasz Helenko... powiedz mi.

— Ach, jakaś ty niedomyślna — uśmiechnęła się z przymusem i poprawiając światło lampy, szepnęła — jestem w innym stanie...

— Ty!? Ty!? — zawołała z wielkiem zdumieniem — ale kiedy? ale jak?

— W najzwyklejszy sposób — mówiła spokojnie — kocham Stacha, on mnie, i żyjemy razem. Cóż ciebie to tak dziwi? — patrzała na Olgę, która nie odwracała oczu od niej,

— A cóż rodzice? babka?

— Ach moja droga, my rozpoczynamy nową epokę ludzkości i nie lgniemy do przeżytych form.

— No... tak... zapewne... ale pomyślałaś o przyszłości dziecka?

— Niech walczy, jak my walczymy.

Patrzała bardziej zdziwiona, aniżeli zgorszona i mimo woli szepnęła:

— A co dalej?

— Dalej?... Póki nam będzie dobrze razem... a zresztą któż zna swoją przyszłość?

— W tem cała nasza wyższość — powiedziała Olga — że my sami stwarzamy tę przyszłość, a nie przypadek.

— Czyż tak? — zaśmiała się drwiąco — i wychodzisz z tej kamienicy: wazon, cegła, kawałek gzymsu pada i zabija cię... wiedziałaś o tem?

— Bo to niezależne od mojej woli, ale tam gdzie mi wybór przysługuje, zawsze wybiorę drogę lepszą.

— Zobaczymy... — i patrząc gniewnie — jeśli cię rażą moje zasady, powiedz otwarcie, możemy spotykać się tylko przy wspólnej pracy.

— Helenko, jakaż ty biedna, jaka rozdrażniona — wstała z krzesła i powodowana szczerem współczuciem, ucałowała ją i uściskała serdecznie.

Helena zapomniała o swym gniewie i tuląc się do Olgi, płakała, łkając cicho i wśród łez szeptała:

— On mnie kocha, ale czuję się taka biedna... taka nieszczęśliwa... w biurze lada chwila wymówią mi miejsce..... a tu w kamienicy, ile ja znoszę, jak cierpię... jak mnie wyzywają, jak drwią i szarpią...

— No, uspokój się Helenko... jakoś poradzimy... wyprowadź się...

— Tak, dobrze ci mówić, ale w ślad za mną pójdzie meldunek... i rządca i stróż będą wiedzieli.

— Więc z nim zamieszkaj, weź ślub...

— Nie mogę bez pozwolenia rodziców, nie zechce ksiądz... A z nim? Czy ty nie rozumiesz, że wszyscy będą mnie poczytywali za jego utrzymankę, za kobietę upadłą. Jedna chwila zapomnienia, chwila szału .. i oto skutki.

— Nie rozpaczaj... coś uradzimy... zawsze możesz liczyć na nas.

— Na was?! — uśmiechnęła się boleśnie — ależ czuję, że jemu staję się ciężarem, że go krępuję, że przeszkadzam.

— Urojenie Helenko... on ma przecież takie same obowiązki względem dziecka, jak i ty.

— I on spełni obowiązek, ale ja cierpię, ale mnie upokarzają, i nic nie można zaradzić, nic zrobić, chyba gdzieś wyjechać i w kącie przeżyć dnie wstydu.

W przekonaniu Olgi, człowiekiem opatrznościowym w różnych przygodach życia był Bolek, on jeden umiał zawsze znaleść sposób wyjścia, spytała też:

— Czy Bolek wie o tem?

— Prawdopodobnie, ale tak zajęty partyą, że niczem po za nią się nie interesuje. Masz najlepszy dowód, że spóźnił się dzisiaj, chociaż wie że czekasz.

— Ja mu tego niemam za złe, przeciwnie, wysoko to cenię w nim. Oboje służymy jednej idei, i ona powinna być wyższą po nad osobiste uczucia.

Helenie zakręciły się łzy w oczach i szepnęła ze smutkiem:

— Ja nie mogę już tego powiedzieć o sobie, stałam się egoistką.

— Minie i to skoro wyzdrowiejesz. Może to nawet nie egoizm, ale poczucie odpowiedzialności za nowe życie.

— Ty filozofujesz — powiedziała drwiąco, — a ja tylko cierpię.

Wtem otwarły się nagle drzwi i wpadł Bolek wołając:

— Jak się macie? — ścisnął rękę Heleny i patrząc badawczo, niespokojnie, wziął rękę Olgi, — nareszcie i wy wróciliście, czy zawsze ta sama?

— Czy widzicie jaką zmianę? — uśmiechnęła się, ściskając jego rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Ej, mikado, będzie źle, rozbijemy twoją własność, rozniesiem do cna. Tobie bić się z nami trudno, niema dnia, by okręt nie zginął, oto twe sławne czyny!? Ty porzuć precz marzenia, żartowania z naszymi portami, wkrótce sam zostaniesz bez nich. Leziesz z głupoty do Portu Artura, przetrzepaliśmy w mig twoją skórę. Bądź rozsądniejszy: wyleźże pokornie z Korei i strzeż swojej floty.



Profesor dr. Józef Wiczkowski.

Profesor dr. Józef Wiczkowski.

W dniu 3 stycznia b. r. zamianował cesarz docenta lwowskiego uniwersytetu i prymaryusza szpitala powszechnego dr. Józefa Wiczkowskiego tyt. profesorem uniwersytetu we Lwowie, na podstawie jednomyślnej uchwały wydziału medycznego.

Nominacya ta odbiła się radosnem echem nietylko wśród przyjaciół, pacyentów i zwolenników szanowanego profesora, lecz i w mieście całem, gdzie cieszy się dr. W. wielką sympatyą i ogólnym szacunkiem.

Prof. Wiczkowski, (którego portret widzą tutaj czytelnicy) po ukończeniu studyów w Krakowie i uzupełnieniu ich na uniwersytecie w Berlinie i w Paryżu, osiadł przed 20 laty we Lwowie, zyskując stopniowo coraz liczniejszą praktykę, a walcząc nieraz z przesądami dawnej szkoły, zaskarbił sobie nietylko jako lekarz, lecz i jako psycholog i przyjaciel miłość i wdzięczność w szerokich kołach tutejszego społeczeństwa. Po śmierci prof. dr. Widmana objął prymaryat chorób wewnętrznych w szpitalu powszechnym, gdzie pracuje z całą płomienną siłą, wielką energią i poświęceniem i nie cofa się przed pieniężnemi ofiarami, byle biednym chorym dopomódz najrychlej do uzyskania zdrowia.

W tej to czynności przedstawia szanownego profesora umieszczona poniżej rycina. Mimo, że dla biednych jest zawsze z całą bezinteresownością, dając im często obok recepty i na receptę, zdołał zebrać spore mienie, dzięki szczególnie bardzo licznej klienteli wśród obywatelstwa wiejskiego i powoływaniu na konsylia do Wiednia, Kijowa i. t. p.

Osobiście zawsze skromny, dla siebie niewymagający, szczery i serdeczny, zdobył sobie ostatnią nominacyą, a właściwie pierwszą, ogólne zdanie: że to odznaczenie dostało się dobrze zasłużonemu. *Beel.*

Zamach na dostojnika Kościoła.

Był czas, kiedy to anarchiści sprzątali jednego po drugim, wybitnych przedstawicieli rządów absolutnych, a nawet konstytucyjno-monarchicznych; czynili zamachy na samych panujących. bardziej strzeżonych od ministrów; z ręki anarchistów ginęły nawet małżonki monarchów, które prawie nie mieszały się do rządów, że przypomnimy cesarzową austryacką Elżbietę, zabitą w Genewie przez Luccheniego; sztylet anarchisty Caseria dosięgnął nawet przedstawiciela republiki, prezydenta francuskiego Carnota. Więc czyż można się dziwić, że wreszcie przedmiotem zamachów anarchistycznych stają się — ku oburzeniu całego świata chrześcijańskiego — poświęcane osoby dostojników Kościoła.

Właśnie niedawno temu fakt taki stał się w jednem z największych ognisk handlu i przemysłu hiszpańskiego nad morzem Śródziemnem, w Barcelonie, której półmilionową ludność stanowią w większej części żywioły przystępne łatwo dla agitacyi anarchistycznej, szerzonej też energicznie wśród tamtejszych robotników fabrycznych i portowych. W sławnej katedrze barcelońskiej skończyło się właśnie świąteczne nabożeństwo, odprawiane wieczorem przez samego arcybiskupa, kardynała Salvadora Casanasa. Dostojnik kościelny zmieniwszy więc szaty uroczyste w zakrystyi, wychodził z katedry w towarzystwie jednego z kanoników, chcąc wrócić do domu. Wtem rzucił się na niego jakiś nieznajomy ze sztyletem w jednej, a rewolwerem w drugiej ręce Gdyby nie przytomność umysłu kanonika, który nagle pięścią w głowę ugodził z wszystkich sił napastnika, byłby kardynał padł ofiarą zamachu. Udało się przytrzymać złoczyńcę; jest to Jose Salas Comas, przywódca grupy anarchistów hiszpańskich, który, jak zeznał przed policyą, chciał zamordować kardynała. Wymierzył on sobie sam sprawiedliwość, zmarł bowiem w więzieniu, zażywszy potajemnie trucizny. Katolicy hiszpańscy radują się dziś wielce, że arcybiskup Barcelony (którego portret widzą czytelnicy obok), ocalał w tak cudowny sposób.

Podobno anarchiści hiszpańscy już od dawna planowali zamach na kardynała Casanasa.



Zamach na dostojnika Kościoła: Kardynał Salwador Casanas, arcybiskup Barcelony, którego omal nie zabił anarchista Comas.

Hr. Gołuchowski kuzynem królewskim.

Zapewne jeszcze nie wszystkim Czytelnikom naszym wiadomo, że hr. Agenor Gołuchowski, którego portrecik dziś zamieszczamy, zaawansował... Ni mniej ni więcej, tylko stary minister austryacki ile razy wypadnie mu pisać w sprawach dyplomatycznych do króla angielskiego, będzie mógł zaczynać list swój do Edwarda VII słowami: „Kochany mój kuzynie! Spowinowacił się bowiem bardzo blisko z dworem londyńskim. Jakim sposoben — spytacie. Oto księżniczka Małgorzata Murat córka księcia Joachima Murata, zaręczyła się z księciem Aleksandrem Battenberskim, przyszłym szwagrem króla hiszpańskiego. Księżniczka Małgorzata zaś jest najprawdziwszą siostrzenicą małżonki naszego ministra-rodaka, skutkiem czego hr. Gołuchowski wchodzi bądź co bądź do rodziny króla Alfonsa XIII. hiszpańskiego i króla Edwarda VII. angielskiego.

I mimo wszystko osławiony hr. Sternberg nie waha się w dalszym ciągu napadać publicznie w parlamencie austryackim na coraz „dostojniejszego“ ministra, o którym dziennikarze wiecznie piszą, że stanowisko jego u boku Franciszka Józefa I. jest zachwiane, a który jakoś nie myśli z rąk wypuszczać teki spraw zagranicznych w Austro-Węgrzech. Mowy Sternberga w wiedeńskiej Izbie rozweselają zwykle posłów, więc chociaż właściwie nie należą do polityki, słucha się ich z przyjemnością — jako humorystyki, zwłaszcza gdy hrabia wsiądzie na ulubionego swego konika napaści na ministra Gołuchowskiego. Właśnie w tych dniach wygłosił Sternberg taką mowę w Izbie. „Czy mamy uchwalać rekruta obecnemu ministrowi spraw zagranicznych — wołał on do posłów — kiedy marne państewko bałkańskie oświadcza, że jest poniżej jego godności, układać się z Gołuchowskim. Jakże to on broni honoru i bezpieczeństwa naszego państwa? Byłem przyjacielem króla Milana, znam więc dokładnie politykę austryacko-serbską. Milana zmusili radykaliści do abdykacyi, a jedno słówko ze strony Austryi byłoby temu przeszkodziło. Gdy powrócił on do Serbii, spełniono zamach na niego, a gdy złoczyńców uwięziono, pojechał adjutant cesarza do Belgradu i oświadczył, że jeżeli natychmiast nie zostaną puszczeni na wolność, flotylla Dunajowa będzie ostrzeliwała stolicę serbską. Później po zaręczynach króla Aleksandra. Milan prosił w Wiedniu, aby zapobieżono temu małżeństwu, bo Draga jest ajentką rosyjską; odpowiedziano mu, że Austrya nie będzie mieszała się do wewnętrznych spraw Serbii. Po zamordowaniu króla Aleksandra wszystkie dwory nosiły żałobę oprócz Austryi. Ona pierwsza posłała do Belgradu posła. Postępowanie naszego ministra — mówił dalej Sternberg — byłoby zrozumiałem, gdyby chodziło



Profesor dr. Józef Wiczkowski w otoczeniu swoich asystentów bada chorą kobietę w szpitalu lwowskim.



Hr. Gołuchowski kuzynem królewskim: Austryacko-węgierski minister spraw zagranicznych, Agenor hr. Gołuchowski.

o zabójstwo polityczne, ale w Serbii popełnili zbrodniarze, najęci przez Rosyę, pospolite morderstwo. A „wielki Agenor“ sankcyonował mord taki!“ Oto w jakim stylu mówił przed kilku dniami w parlamencie austryackim, wśród wybuchów wesołego śmiechu całej Izby, arystokratyczny radykalista o przyszłym kuzynie Edwarda VII, a wiernym, długoletnim doradcy Franciszka Józefa. Hrabia Gołuchowski jednak przywykł już do tego, że mu zarzucają często zbrodnie, jakich mu się nie śniło popełnić...

Wodociągi miejskie w Czortkowie.

Małe, zaledwie kilka tysięcy mieszkańców liczące, miasto Czortków nad Seretem w Galicyi wschodniej, zdobyło się na własne wodociągi miejskie. Jest to fakt w naszym kraju niezwykły, a godzien publicznego podniesienia, tem bardziej, że stało się to bez obcej pomocy, a tylko własnymi środkami, mimo, że potrzeba było na takie przedsięwzięcie stukilkudziesięciu tysięcy koron. Przykład to najlepszy dla innych gmin naszych, iż wiele dobrego dałoby się zrobić przy tęgiej gospodarce, choćby skromnymi dochodami. Czortków jest w tem szczęśliwem położeniu, że ma znakomitego gospodarza w osobie burmistrza p. Ludwika Nossa. Jego to przeważnie zasługą jest doprowadzenie do skutku ważnego w dziejach Czortkowa dzieła — urządzenia wodociągów miejskich.



[Fot. K. Strzelecki, Czortków.

Wodociągi miejskie w Czortkowie: Rozmieszczone w mieście hydranty pożarne.

W odległości 4 kilometrów od miasta Czortkowa leży głęboki jar podolski, w którym zbiera się woda, sącząca ze skał. W jarze tym jest początek wodociągu. Następnie po ujęciu źródlisk, od jaru sprowadza do miasta rura wodociągowa przeszło 600 metrów kubicznych wody na dobę i to spadem naturalnym. W samem mieście zbudowano w ogrodzie miejskim duży zbiornik betonowy, do którego wpływa woda z rurociągu. Zbiornik ten zaopatruje w wodę całą dolną część miasta, t. z. „Strefę dolną“, a oprócz tego pobiera się także z niego wodę za pomocą pomp, maszynami pędzonych, dla górnej części miasta, czyli dla t. z. „Strefy górnej“.

Grupa osób na załączonej poniżej rycinie, mającej za tło właśnie zbiornik wodociągowy, przedstawia w środku burmistrza Czortkowa, p. Ludwika Nossa, inżyniera cywilnego ze Lwowa p. Marcelego Maślankę, oraz pracujących przy wodociągach fachowców.

W mieście są rozmieszczone studnie, hydranty pożarowe, (jak to widać na drugiej rycinie powyżej) a oprócz tego wiele domów połączonych jest z wodociągiem miejskim za pomocą prywatnych instalacyi.

Wodociąg projektował wspomniany powyżej inżynier Maślanka, który również kierował i wykonaniem tego ze wszech miar udałego dzieła.



Fot. K. Strzelecki, Czortków.

Wodociągi miejskie w Czortkowie: Na tle głównego zbiornika grupa osób pracujących przy budowie wodociągów; w środku burmistrz czortkowski Ludwik Noss i projektodawca wodociągu inżynier lwowski, Marceli Maślanka.

Co będzie z Marokkiem.

Dobrze ktoś powiedział w Londynie, że mocarstwa europejskie, grające w Algesiras w karty o Marokko, czekają ciągle na niemieckiego atuta. Istotnie, kwestye, od których powodzenie lub nieudanie się konferencyi, obradującej dziś w podgibraltarskiej mieścinie, musi zależeć, nie zostały jeszcze poruszone na dotychczasowych posiedzeniach, jawnych ni poufnych. Znane więc są postulaty francuskie, bo ich Francya nie ukrywała; za to panuje zupełna nieświadomość co do żądań niemieckich, których świat oczekuje z niecierpliwą ciekawością. Jeden z dziennikarzy zdołał tylko tyle dowiedzieć się od reprezentantów niemieckich, że Niemcy nie pozwolą na „tunisyfikacyę“ Marokka, że chcą nietylko proklamacyi zasady „otwartych drzwi“, ale i zastosowania jej w najszerszem znaczeniu, tak, ażeby Niemcy mogli nabywać koncesye—gdzie tylko zechcą, na równi z Francuzami i poddanymi innych mocarstw. Na to zaś jeden tylko sposób: Marokko ma być terytoryum „międzynarodowem“. Żadne z państw, zajmujących tam naczelną pozycyę administracyjną, nie zdoła przez czas dłuższy zachować absolutnej bezstronności.

Dotychczasowe prace konferencyi w Algesiras idą niezmiernie wolno, a posiedzenia delegatów mocarstw dowodzą, iż kwestye międzypaństwowe, zwłaszcza stosunki francusko-niemieckie stoją na pierwszym planie, sprawy zaś marokkańskie na drugim. Stosunki są ciągle jeszcze w wysokim stopniu naprężone, tak, że trzeba największej ostrożności, by nie przyszło do zerwania. Francya stara się oddalać chwilę konkluzyi ostatecznej, przekonana, że sprawa musi zyskać na przedłużeniu debat, w czem ją Hiszpania popiera. Jeżeli pokojowi europejskiemu grozi niebezpieczeństwo w razie nagłego zerwania konferencyi, to taktyka odwlekania krytycznej chwili jest słuszna, gdyż skoro się okaże, iż sporne interesy pogodzić się prawie nie dadzą, doświadczony dyplomata Visconti Venosta znajdzie już sposób wyjścia z położenia. Z takiej sytuacyi korzystają jedynie marokkańscy delegaci, widzą w niej bowiem rękojmię utrzymania w Marokku niezmiennego „status quo“.

* * *

Podawaliśmy już Czytelnikom w poprzednich numerach portrety niektórych wybitnych delegatów mocarstw, biorących udział w tej ważnej konferencyi, oraz ryciny, przedstawiające Algesiras. Dziś załączona illustracya nasza na następnej stronie wyobraża chwilę przybycia do Algesiras reprezentantów mocarstw.



Co będzie z Marokkiem: Chwila powitania delegatów mocarstw europejskich, przybywających do Algesiras na konferencyę marokkańską.

„Wojna święta przeciw Szwabom“.

Na widnokręgu politycznym zjawiły się groźne chmury od południa. Austro-Węgry muszą się teraz liczyć z tajnem przymierzem bałkańsko-włoskiem, a to, co się tam, na południu, knuje, obchodzi w wysokim stopniu Europę. Było to do przewidzenia, że państwa Bałkańskie skorzystają z europejskiego zamętu politycznego, jaki się w ostatnim czasie wytworzył od chwili, gdy Rosya skutkiem wojny z Japonią i w następstwie rewolucyi, przestała być mocarstwem groźnem. Wszak do niedawna przeważały na Bałkanach wpływy rosyjskie i uprawiało się moskalofilstwo wśród ludów tamtejszych,



„Wojna święta przeciw Szwabom“: Panujący książę bułgarski Ferdynand.

które czekały tylko chwili, kiedy Rosya rozbije Turcyę i pogromi Austryę, a wówczas ich pieczenie upieką się przy tym ogniu. Ale kiedy sny bałkańskich ludów rozwiali Japończycy, trzeba było poszukać oparcia nie o północ. To też utworzył się tryumwirat potajemny a formalny z trzech panujących: księcia czarnogórskiego Mikołaja, króla serbskiego Piotra i księcia bułgarskiego Ferdynanda; za ich plecami zaś stoi ten, o którego właśnie można było się teraz oprzeć, w miejsce zbankrutowanej Rosyi, król włoski, Wiktor Emanuel III.

Od lat kilku dyplomacya włoska pracuje nad wyłącznem zapanowaniem nad morzem Adryatyckiem i zamknięciem Austro-Węgrom tej jedynej drogi komunikacyjnej, która łączy je z ogólnemi przestworzami morskiemi. Dziś Włochy zdają sobie sprawę, że wreszcie tego rodzaju usiłowania muszą doprowadzić do zbrojnego zatargu z monarchią austro-węgierską, ale i o tem nie zapominają, że są zbyt słabe militarnie, by mogły podjąć walkę z nadzieją zwycięstwa. Natomiast mogą się poszczycić ruchliwą i zręczną dyplomacyą, której



„Wojna święta przeciw Szwabom“: Król włoski Wiktor Emanuel III.

wszystko zawdzięczają, a która dziś zakrzątnęła się o pozyskanie sprzymierzeńców, by z ich pomocą można było sparaliżować ewentualnie następstwa ujemnych stron armii włoskiej i marynarki. Najgorliwsze były paroletnie zabiegi na Bałkanie, by wytworzyć ligę antyaustryacką, wysługującą się — nawet nie zawsze świadomie — celom polityki włoskiej. A dyplomatycznym zabiegom ministrów Wiktora Emanuela dopomogła jeszcze zręczniejsza polityka familijna domu Sabaudzkiego.

Jak wiadomo, król włoski jest zięciem księcia Mikołaja czarnogórskiego, a król Piotr serbski szwagrem Wiktora Emanuela. Mylą się ci, którym się zdaje, że w razie czego Austro-Węgry miałyby do czynienia tylko z nieprzyjaźnią Czarnogórza i Serbii. Pamiętajmy, że stary książę Mikołaj nie tylko jest tęgim wodzem, ale i mądrym dyplomatą a zarazem świetnym organizatorem. On Austryę, której nienawidzi, uważa za przednią straż świata niemieckiego, który posługując się Madziarami, poprzysiągł zgubę Słowiańszczyźnie południowej, podobnie jak zwolna stara się dusić zachodnią. Na umysły zaś Słowian południowych ma wpływ olbrzymi książę czarnogórski i gdyby przyszło do wojny między Włochami a Austryą, to z chwilą dywersyi Czarnogórców i Serbów królestwa — on umiałby rozpalić powstanie w Bośni, Hercogowinie i Sandżaku Nowo-Bazarskim i pod chorągiew swoją zwołałby Serbów i Bułgarów Macedonii, a nawet mieszkańców Dalmacyi południowej. Z tem wszystkiem musi liczyć się dzisiaj Austrya, której sztab generalny musiałby rzucić w tamte strony w razie dywersyi serbsko-czarnogórskiej, trzy kroć sto tysięcy wojska przeciw wyśmienitemu żołnierzowi, jakim jest Słowianin południowy; co gorsze jednak, że liczne pułki serbskie w armii austryacko-węgierskiej nie koniecznie byłyby pewne i lojalne w tej walce, którą książę Mikołaj ogłosiłby za „wojnę świętą przeciwko Szwabom“ — jak pospolicie do dnia dzisiejszego zowią Austryaków Słowianie Bałkańscy.

Od kiedy więc narobiły hałasu informacye berlińskie o porozumieniu wojskowem między Serbią a Czarnogórzem, kiedy silne wrażenie wywarły w Wiedniu wieści o próbnem uruchomieniu armii czarnogórskiej, zwłaszcza zaś odkąd wybuchła wojna cłowa między Austro-Węgrami a Serbią — z coraz większem zajęciem zwraca się świat cywilizowany na południe, interesując się żywo głównymi przedstawicielami tajnego przymierza bałkańsko-włoskiego. Z tego też powodu podajemy dziś czytelnikom podobizny króla Wiktora Emanuela włoskiego, króla Piotra serbskiego, księcia Ferdynanda bułgarskiego, oraz następcy tronu czarnogórskiego, księcia Mirki, syna starego księcia Mikołaja, którego portret dawaliśmy zaledwie przed paru tygodniami.

Ponieważ zaś z tych samych przyczyn politycy zaczynają interesować się coraz żywiej i sztabem generalnym austryackim, załączamy dziś również fotografię obecnego szefa tego sztabu, generała Becka, o którym świeżo krążyły pogłoski, niewiadomo dotąd, o ile prawdziwe, że ma ustąpić miejsca gen. Fiedlerowi. Dzisiejszemu dowodzącemu korpusem wiedeńskim, a niegdyś komenderującemu we Lwowie. Marszałek polny gen. Beck będzie teraz obchodził 60 tą rocznicę urodzin.

Pod sztandarem Rajzulego.

Nad zatoką Algesiras radzą sobie dyplomaci europejscy nad sprawą Marokka, a w wolnych chwilach pozują do fotografij sprawozdawcom pism illustrowanych; przedstawiciele zaś sułtana Abdul-el-Ezisa wyczekują na kuryerów z Fezu od swego Emira-al-Mumenia, poczem w wolnych chwilach za-



„Wojna święta przeciw Szwabom“: Król serbski Piotr I.

bawiają się — jak mogą... Tymczasem w samem Marokku zanosi się na bardzo groźne zaburzenia, zwłaszcza w okolicy Tangieru

Szczep Angerów idzie na powstańców, stojących pod sztandarem Rajzulego, tuż niedaleko Tangieru. Dotychczas Angerowie dzielili się na dwa nieprzyjazne sobie wzajem stronnictwa, to też nie mogli działać łącznie. Ale naczelnik jednego z tych stronnictw, chcąc pozbyć się potężnych przeciwników, zaprosił najwybitniejszych z nich na biesiadę i... wymordował ich. W ten sposób ustało współzawodnictwo naczelników; Angerowie idą zwartą masą na Rajzulego, ażeby pomścić śmierć trzech szeików, wysłańców do Fezu, których herszt rokoszan w drodze był pochwycił i śmiercią ukarał. Ange-



„Wojna święta przeciw Szwabom“: Książę Mirko, następca tronu czarnogórskiego, syn panującego księcia Mikołaja.

rowie, mieszkańcy okolic między Tangierem, Tetuanem i Ceutą, są daleko liczniejsi i lepiej uzbrojeni niż wojsko Rajzulego, a mogą liczyć także na pomoc sąsiedzkich plemion górskich. Do bitwy w okolicach Tangieru przyjdzie lada dzień. Więc oczy Europy zwracają się z zajęciem w stronę Marokka już z podwójnych powodów. To też dla zaspokojenia ciekawości Czytelników, podajemy obok portret panującego tam dziś sułtana „władcy prawowiernych“, którego delegaci radzą z przedstawicielami całej Europy w Algesiras właśnie nad systemem opodatkowania tych samych plemion Angerów, nie zdradzających bynajmniej swemi wojowniczemi zamiarami gotowości do posłuszeństwa względem jakichkolwiek poborców.

Władysław Okręt przed sądem.

Dwukrotnie uwięziony redaktor i wydawca warszawskiego tygodniowego pisma polityczno-społecznego „Nowiny“, stanie w sobotę w d. 10 bm.



Władysław Okręt przed sądem: Redaktor i wydawca warszawskich „Nowin“, Władysław Okręt, więzień stanu, odpowiadający przed sądem wojennym w Warszawie 10 b. m. za zbrodnie polityczne.

przed trybunałem sądu wojennego jako oskarżony o przestępstwa prasowe, pociągające za sobą ciężkie kary więzienia kilkoletniego nawet. Zanim prokurator przytoczy wszystkie obciążające — a obrońca adw. przys. p. Leon Papieski wszystkie uniewinniające dowody, podajemy Czytelnikom naszym podobiznę podsądnego wraz z kilku szczegółami z jego życiorysu.

Władysław Okręt, liczący dziś zaledwie 30 lat, urodził się w Warszawie gdzie ojciec jego Rudolf cieszy się zasłużoną opinią jako wydawca i redaktor dawnej „Gazety Handlowej“.

Kształcił się za granicą jako wolny uczeń kilku uniwersytetów niemieckich. Początkowo przeznaczony był do karyery w zawodzie handlowym. Lecz poczuł wkrótce oddziedziczoną po ojcu żyłkę dziennikarsko-wydawniczą. Pisywał czas jakiś w Gazecie Handlowej sprawozdania z teatru a zarazem zajmował się przygodnemi wydawnictwami. Najcenniejszem z nich był skorowidz literacko dziennikarski wydany zeszłego roku.



Pod sztandarem Rajzulego: Abdul-el-Azis, sułtan marokkański, noszący tytuł Emira-al-Mumenia (w mundurze tureckim).

Żywy ruch dziennikarski w Warszawie i przyszłość jego rozwoju przy konstytucyjnym państwa ustroju, zachęcały go do założenia pisma „Nowiny“, wydawanego w formie zwykłego dziennika rano po każdej niedzieli i święcie, kiedy bardzo tylko nieliczne wychodzą dzienniki.

Prowadzone w duchu postępowo demokratycznym i szerzej społecznym po kilku zaledwie pierwszych numerach popadły w kolizyę z wymogami ustawy prasowej. Zaostrzyła się ona z chwilą ogłoszenia stanu wojennego, gdy „Nowiny“ nie odmieniły raz przyjętego tonu.

Pewnej nocy odbyto rewizyę w mieszkaniu prywatnem p. Okręta, którego uwięziono najprzód na Pawiaku, potem w Cytadeli. „Nowiny“, choć nie zawieszone, przestały wychodzić. — Potygodniowem śledztwie wypuszczono podsądnego na wolność, niestety na krótko, gdyż ledwie po dwu tygodniach aresztowano go ponownie również po rewizyi, która nic podejrzanego władzom nie dostarczyła.

Akt oskarżenia obejmuje obok innych zarzutów również zbrodnię obrazy Majestatu.

Życzyć należy gorąco młodemu więźniowi i podsądnemu, aby sprawa jego jak najpomyślniej się zakończyła. *t.*

Siedmiomilowe buty.

Znacie tę bajkę? Któż z was dzieckiem nie dał się unosić fantazyi na temat podróży przy pomocy butów siedmiomilowych, które Tomcio Paluszek z bajki ukradł strasznemu zbójcy. Dziś na starsze lata śmiech was zbiera na myśl o tem, a jednak siedmiomilowe buty przestały być bajką. Nieboszczyk Juliusz Verne, który przewidział balony ze sterem i łodzie podwodne, na pewno nie przeczuwał, że nauka wynalezie wreszcie i trzewik samochodowy, czy jak to inni nazwali: łyżwę-automobil. Ten niespodziewany aparacik sensacyjny, którym się dziś niezwykle zainteresował cały świat sportowy przedewszystkiem — składa się, jak widzimy na załączonej rycinie — z czterech kółek gumowych, miniaturę rowera przypominających, a podtrzymujących zwykłą łyżwę, pod którą spoczywa mechanizm automobilowy. Całość długa 45 cm. i 24 cm. szeroka, waży 7 kilogramów. Motor w cylindrze 8 cm. długim ma siłę jednego konia: robi 1000 do 2500 obrotów na godzinę i pozwala człowiekowi zaopatrzonemu w ten przyrząd, pędzić z szybkością 40 kilometrów na godzinę. Czegóż trzeba więcej? Wprawdzie para tych siedmiomilowych butów, czyli para koni pod podeszwami, kosztuje dziś jeszcze 450 franków, tj. mniej więcej tyleż koron a około 200 rubli, ale czyż rowery z początku nie były drogie, zanim przestały być przedmiotem zbytku. Maluczko, a najnowszy ten automobil zostanie jeszcze bardziej ulepszony i uproszczony, a wówczas będziemy sobie wszyscy podróżowali po świecie pieszo w siedmiomilowych butach. A jakże się ich pozbyć — spytacie jeszcze — gdy zawadzają? W najprostszy sposób. Odpina się cały przyrząd, jak zwykłą łyżwę na ślizgawce — zarzuca się przez ramię na pasku i nosi na plecach — niby tornister wojskowy lub studencki.



„Wojna święta przeciw Szwabom“: Szef austryackiego sztabu generalnego, baron Beck.



Siedmiomilowe buty: Najnowszy wynalazek: Trzewik samochodowy czyli łyżwa automobil.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

8 (Ciąg dalszy).

Z punktu widzenia moralności możnaby o tem, tak różnorodnem zebraniu myśleć Bóg wie co, dla oka jednak nie było piękniejszego i bardziej ponętnego obrazu. Olbrzymia sala jaśnieje tysiącami świateł, wśród których powiewają z szelestem setki chorągwi, spływających z pośród zielonych girland. W szerokiem półkolu, w lożach i balkonach, faluje morze jedwabiu i atłasu, powiewają strusie pióra, skrzą się cudnymi blaski perły, dyamenty i inne kosztowności. Na dole przepych jeszcze większy; tu wesołość panuje niepodzielnie, nie krępowana żadnymi względami umiarkowania. Morze światła rozlewa się po pstrobarwnym tłumie, a promienie jego odbijają się i mienią w drogich kamieniach, które mało tylko przewyższają blaskiem śmiejące się oczy wszystkich zebranych. Fantastyczne maski, pstre domina, bogate suknie przewijają się jak wody potoku na kwiecistej łące. Spojrzenia spotykają się, pytają, odpowiadają sobie. Białe ramiona, cudnie toczone ręce podnoszą się i opadają. Tysiąc najrozmaitszych postaci rozbiega się, to znów zbiega, kłębi — słowem, kalejdoskop barwnych, dyszących uciechą życia i żądzą zabawy obrazów.

Czego bo tam nie ma? Rycerze w zbroicach, dworzanie, paziowie, księżniczki, kwieciarki, boginie, dzicy Indyanie i nimfy leśne, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, widać tutaj w przepysznej grupie. Szczególniejszy kontrast tworzy więc wobec tego tłumu masek kilka osób niezamaskowanych, które stoją przy ścianach, jak posągi, w czarnych frakach i białych krawatkach.

Obok najbardziej fantastycznie ubranych tancerzy i tancerek zbierają się tu i ówdzie grupy widzów; głośne śmiechy, okrzyki „hurra!“ rozlegają się co chwila po sali, zlewając się z dźwiękami muzyki, które brzmią jak czarowne melodye, pełne czaru i uroku, chwytają za serce, każą zapomnieć o wszystkiem, a oddać się jeno zabawie. Różnokolorowe chorągwie drżą w ciepłem powietrzu, przesiąkłem oddechami setek słodkich piersi.

Od godziny 9 aż do północy rósł tłum z każdą chwilą i z każdą chwilą wzmagała się wesołość. Na ulicy stały setki powozów, woźnice klęli, kłócili się i bili. Policyanci z trudem tylko mogli utrzymać jaki taki porządek.

W rzędzie powozów, które zajechały przed akademię muzyczną dopiero przed dziesięciu minutami najwyżej, znajdował się również jeden nadzwyczaj elegancki i powszechną zwracający uwagę. Siedziały w nim dwie kobiety, obydwie zamaskowane, jedna w sukni pomarańczowej, druga w niebieskiej. Obydwie mówiły ze sobą po francusku.

— Więc, Linko, wiesz dobrze, co masz robić — mówiło niebieskie domino.

— Może pani być spokojna — brzmiała odpowiedź — zresztą nawet w najgorszym wypadku nie obawiam się niebezpieczeństwa.

— Ach, gdyby się mój mąż dowiedział, cośmy zrobiły! — zawołało niebieskie domino drżącym głosem.

— Tego się nie potrzebujemy obawiać; pan przecie odjechał wieczornym pociągiem do Filadelfii i nie może wrócić wcześniej, jak jutro.

— A jednak ta myśl nie daje mi spokoju. Powinnam mu była wszystko powiedzieć. Dlaczegom tego nie zrobiła?

— W liście było najwyraźniej zastrzeżone, że pan o tem nie ma nic wiedzieć.

— Ach, ale to był list anonimowy. Gdyby piszący go miał dobre zamiary, to byłby przecie wymienił nazwisko. Co on mi może powiedzieć? Ludwik umarł — i teraz nie mam tu nikogo oprócz męża — a przecie w liście napisano najwyraźniej, że dowiem się rzeczy bardzo ważnych, dotyczących drogiej mi osoby. Kto to może być?

— O tem się przecie dowiemy — rzekła Linka — nieszczęścia nie będzie z pewnością. Ow anonim, mniejsza o to, kim on jest, „będzie mówił z pomarańczowem dominem, które będzie miało w jednem uchu kolczyk dyamentowy, w drugiem kolczyk z rubinami“. Ponieważ zaś na jego życzenie stosownie się ubrałam, więc on zwróci się do mnie. Jeżeli się przekonam, że rzeczywiście ma nam coś ważnego do powiedzenia, to poproszę go, aby chwilkę zaczekał i wtedy wykonamy nasz plan. Jeżeli to jednak tylko pospolity wydrwigrosz, to przecie poznamy się na nim i umknięmy mu z przed nosa.

— Pragnęłabym — rzekła druga kobieta z westchnieniem — aby się jakie nieszczęście nie stało. Na Boga, Linko, bądź ostrożna i nie popełnij jakiego głupstwa! Przypominasz sobie dokładnie, gdzie się macie spotkać?

— Niech pani będzie spokojna, znam wszystkie jego wskazówki na pamięć. Ale, wysiadajmy!

Obie damy weszły na schody, wyłożone czerwonem suknem, oddały przy drzwiach portyerowi swoje zaproszenia, złożyły okrycia w garderobie i wyszły na balkon, skąd mogły dokładnie obserwować bawiących się w olbrzymiej sali i łatwiej znaleźć osobę, dla której tu przybyły. A trzeba dodać, że w liście był dokładnie opisany kostyum, w jakim miał być ów nieznajomy.

Naprzód nie mogły się zupełnie zoryentować w tłumie. Powoli jednakże wzrok ich przyzwyczaił się już do ruchliwej masy bawiących się, tak, że już potrochę mogły się zoryentować. Napróżno jednak szukały wśród masek człowieka w białym kaftanie i białych spodniach z niebieską gwiazdą na plecach i próżnem gniazdkiem ptasiem w ręce. Był to kostyum, który musiałby przecie odbijać z pomiędzy wszystkich innych, a jednak człowieka, który go nosił, nie mogły zobaczyć. Prawda, brakowało jeszcze całych piętnaście minut do czasu, wyznaczonego przez owego nieznajomego w liście.

Podczas, gdy obie damy zajęte były rozglądaniem się po sali, do loży, znajdującej się obok balkonu, weszło dwóch mężczyzn i zajęło miejsca. Jeden był szczupły, dosyć wysoki; ubrany był w czarny surdut, na twarzy miał jedwabną czarną maskę. Drugi zaś, wielki, barczysty chłop, o prostej ordynarnej twarzy, na której malowała się dobroduszność i ograniczoność, miał na sobie zwyczajny płaszcz, na szyi gruby, wełniany szal; na rękach nosił olbrzymie, zabrukane rękawice. Wyglądał wogóle za dorożkarza, wziętego wprost z ulicy; ale bo też nie był to nikt inny jeno nasz stary znajomy mister Bride.

— Teraz szybko — ozwał się towarzysz Bridego — wytrzeszcz pan oczy i szukaj pan go. Jesteś pan przecie pewny, żeś go pan widział, jak wchodził do bramy.

— Będę się starał — odparł ostrożnie woźnica. — Poznałem go na pierwszy rzut oka. On był we własnej osobie. Tasama wysokość, tensam chód, wszystko tosamo. Jego wiozłem w noc noworoczną, nikogo innego, jestem o tem przekonany.

— Widziałeś pan twarz? Bo może był zamaskowany?

— Tak jest, proszę pana. Ale to było tak: Stałem właśnie na schodach i chowałem do woreczka pieniądze, jakiem właśnie otrzymał za jazdę, kiedy on nadjechał w swoim kabryolecie i wyskoczył tuż przedemną. Surdut miał podszewkę czerwoną, to znaczy, że on prawdopodobnie tu przewdział go na drugą stronę i będzie w czerwonym surducie. Na twarzy miał wprawdzie maskę, ale kiedy wyjmował sakiewkę, podniósł maskę do góry. Wtedy ujrzałem jego twarz i niech mnie kule biją, jeżeli się mylę, że to on!

— To szczęście, że właśnie w tej chwili ja się tam zjawiłem — rzekł do siebie półgłosem jego towarzysz. — Był to zresztą czysty przypadek, że idąc do biura, tutaj się zatrzymałem na chwilę. Więc żona z nim nie przyjechała, powiada pan?

— Nie, przynajmniej nie w kabryolecie; może się tutaj miał z nią spotkać.

— Czego on tu wogóle ma szukać? Muszę ja to zbadać. Ale, ale! Nie widzisz go pan jeszcze?

— Eh, bo też tutaj niełatwo się zoryentować. Dalibóg, zupełnie taksamo, jakby kto pijanemu kazał liczyć gwiazdy — rzekł Bride, otwierając szeroko oczy. — Gdyby tam na dole wszyscy na parę sekund stanęli, możnaby go zobaczyć, ale oni się kręcą i kręcą — nie, dalibóg, nie dam rady!

— No to zejdźmy na dół, może go spotkamy w sieni.

Powstał szybko i ślimaczym krokiem wyszedł z loży, a za nim dorożkarz.

Dama w niebieskiem domino odprowadziła ich oczyma, w których się malował przestrach i zdenerwowanie.

— Linko — szepnęła, trzymając ją silnie za rękę — głos tego dorożkarza wydał mi się tak znajomym! Nie łudzę się z pewnością. Nie wspominałże on o nocy Sylwestrowej?

— Mówił coś, że kogoś w tę noc wiózł. Ale co nas to obchodzi?

— *Mon Dieu*, wiesz przecie, że tej nocy mój mąż i ja... Wiesz. Chodźmy do domu! Zaraz! Jeżeli to on, jestem zgubiona!

— Ależ dlaczego, *madame*? Nie rozumiem pani!

— A przecie to takie jasne! On mówił, że widział dzisiaj na schodach tego pana, którego wiózł w noc Sylwestrową. Mój mąż musi więc w tej chwili być tutaj. Prawdopodobnie dowiedział się, gdzie jestem i szuka mnie. Nie mamy czasu do stracenia. Uciekajmy stąd, zanim nas spostrzeże.

— Ależ pani — uspokajała ją Linka. — Myli się pani z pewnością. Nawet gdyby mąż pani był tutaj, to przecie w żaden sposób nie mógłby pani poznać. Mamy zresztą pewne podstawy do przypuszczenia, że on jest w tej chwili o kilkadziesiąt mil od nas oddalony. Co się tyczy tego dorożkarza, to przecie oni wszyscy wyglądają jednakowo i głos mają podobny. Niech pani tylko pomyśli, ilu to dorożkarzy jeździło w noc Sylwestrową aż do białego rana! To prawie nieprawdopodobne, żeby ten właśnie jechał był z państwem. — Ale, niech no pani popatrzy! — zawołała nagle, wskazując ręką na dół sali.

— Gdzie? Na środku?

— Nie, nie, tam w kącie, pod tą wielką girlandą. Widzi pani?

— Widzę.

— To on. Biały kaftan, niebieska gwiazda, gniazdo ptasie w ręce — wszystko się zgadza. Skoro się pani na tyle odważyła, to w ostatniej chwili chyba się pani nie cofnie. Zresztą ja tu jestem, a przecie ja mam z nim mówić!

— Dobrze, żeśmy to tak ułożyły — odparła druga kobieta drżącym głosem — trzęsę się cała z obawy i nie byłabym zdolna do niczego, nawet choćby mnie konieczność zmuszała. Jak możesz być tak spokojną, Linko? Taką cię jeszcze nigdy nie widziałam.

— A ja aż skaczę z radości! — odparło młode dziewczę i wstało. — W masce czuję się tak swobodną, jakby mnie nikt nie widział. To nawet bardzo przyjemnie być tak choć na chwilę pozbawioną swego własnego „ja“. Nie boję się nikogo i niczego. Dlaczego ludzie, znużeni życiem, nie zakładają masek na twarze, zamiast sobie życie odbierać? Przecież wtedy czuliby się zupełnie innymi i mogliby żyć najspokojniej w świecie. Teraz rozumiem, dlaczego tylu ludzi przychodzi na bal maskowy!

— To straszne — szepnęła kobieta w niebieskiem domino. — Gdyby tak znaleźć się teraz daleko stąd, gdzieś w bezpiecznem miejscu!

Poddała się jednakże w zupełności swojej towarzyszce i obie wyszły na schody, wiodące do wielkiej sali balowej. Przeciskając się przez tłumy doszły nareszcie do tego miejsca na sali, które było przeznaczone na schadzkę z nieznajomym. A miała ona nastąpić po prawej stronie estrady, może w odległości czterech kroków od pierwszej loży.

Tutaj było miejsce prawie puste, a posiadało jeszcze jedną rzecz, którą Linka odrazu zauważyła. Pomiędzy kulisami a jedną z lóż zawieszona była wielka czerwona zasłona, za którą było miejsce wolne, nadające się bardzo dobrze do ukrycia się i podsłuchania rozmowy.

Odrazu więc zwróciła Linka uwagę swojej pani na ten szczegół i rozglądała się, czy niema tam jakiego otworu, przez który możnaby się dostać za zasłonę. Znalazła go i zaraz obiedwie wsunęły się za nią. Przedostały się wreszcie przez cały magazyn rekwizytów teatralnych aż ku samej zasłonie i tam Linka ulokowała swoją panią jakby w jakiej twierdzy, a sama wysunęła się nieznacznie na salę, gdzie już na nią oczekiwał człowiek w białych spodniach, w białym kaftanie, z niebieską gwiazdą na plecach i ptasiem gniazdem w ręce.

Linka przeszła kilka razy obok niego, jakby go nie zauważyła. On jednak, jak tylko ją zobaczył, przystąpił bliżej, zmierzył ją badawczem spojrzeniem, przystanął i rzekł:

— Dobry wieczór, kwiatku pomarańczowy. Nie widziałeś gdzie mojej papugi?

— Widziałam — odparła Linka — powiedziała mi, że pana tu znajdę.

— Dobrze!

Rozmowa ta była z góry obmyślana i napisana w owym anonimowym liście.

Nieznajomy szepnął teraz półgłosem:

— Dobrze. Proszę iść za mną. Znajdziemy jakie miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie, bez świadków pomówić.

— Nie — rzekła Linka stanowczo, ale znać było, że starała się zmienić głos. — Musisz pan tutaj mówić, i tylko tutaj. Czego pan chcesz odemnie?

Cofnęła się krok wstecz i stanęła tuż obok zasłony, poza którą znajdowała się dama w niebieskiem domino.

— Jak się pani podoba — rzekł nieznajomy, podchodząc ku niej. Leży to przecie w interesie

pani, nie można, aby nas nikt nie słyszał. Chodzi tu o pewnego człowieka, o Ludwika, niech pani uważa, że pani tego człowieka całowała — o Hanier'a.

Dziewczę milczało przez chwilę, poczem rzekło spokojnie: — Mów pan, słucham.

— Wiem, jakie stosunki panią z nim łączyły i zależy to tylko odemnie, czy świat się o tem dowie, czy nie. Rozumie mnie pani?

— Nie zależy mi zupełnie na ukrywaniu mojego stosunku z Hanier'em. Nie masz mi pan nic więcej do powiedzenia?

— Niech się pani nie sili przestraszyć mnie tym tonem — odparł nieznajomy. — Nie mówię bez przyczyny. Hanier był kochankiem pani. Ponieważ mąż pani o tem się dowiedział, oddalił go przed kilku laty ze służby. Pani jednak nie przestała z nim się widywać. Kiedy się pani ostatni raz z nim widziała, na kilka dni przed jego śmiercią, zauważono, że pani go całowała, jego, człowieka, który był dawniej służącym pani! Posyłała mu pani podarki, ostatnim razem otrzymał... Mamże mówić dalej?

— Jak się panu podoba! — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze. A więc ostatnim razem otrzymał od pani papierośnicę, własność męża pani. Jak pani widzi, wiem wszystko bardzo dobrze.

— Może być, ale nie rozumiem, po co pan to wszystko mówi?

— Więc niech pani słucha dalej. Mąż pani potrzebował z niewytłómaczonych powodów tej papierośnicy zaraz potem, jak pani ją dała Hanier'owi. Pytał się o nią. Pani się przestraszyła, chciała pani wmówić w niego, że papierośnica zginęła, ale ostatecznie stanowczość jego zwyciężyła, pani uznała swoją winę i wyznała mu wszystko, powiedziała mu pani całą prawdę.

— Jaką prawdę? — zapytała Linka.

— Że pani papierośnicę dała Hanier'owi i że on był kochankiem pani.

— To nieprawda! — rzekła Linka stanowczo.

Spokój i śmiałość, z jaką Linka odpowiadała, zaimponowały nieznajomemu. Zaczął więc zaraz mówić dalej i nawet nie próbował zmienić głosu, jak poprzednio:

— Widzi pani, że mówię prawdę, zresztą mogę to pani jeszcze udowodnić.

— Proszę!

— Wieczorem po wyznaniu pojechała pani wraz z mężem dorożką do domu Hanier'a. Z powodu spóźnionej godziny dom był już zamknięty. Pani podeszła ku bramie, mąż zaś został w doróżce. Pani powiedziała Hanier'owi, że wszystko odkryte i na prośby pani on oddał papierośnicę. Potem wróciła pani wraz z mężem do domu.

— Proszę dalej — rzekło dziewczę.

Przy ostatnich słowach nieznajomego zmieniło się całe jej zachowanie. Słuchała z podwojoną uwagą i badawczym wzrokiem patrzyła na swego interlokutora.

— Papierośnicę mąż pani otrzymał tedy napowrót — ciągnął dalej nieznajomy — ale to nie uspokoiło go jeszcze. Dopóki Hanier żył, on nie mógł być spokojnym. Po pierwsze Hanier mógł był odkryć tajemniczą zawartość papierośnicy, a w takim razie mógł mu w ważnych sprawach grubo zaszkodzić. Po drugie Hanier mógł był się wygadać z tem, jaki stosunek łączył go z panią, pułkownik zaś nie chciał się narażać na plotki i skandale. To były główne przyczyny, które skłoniły męża pani do popełnienia zbrodni. Chce pani, abym pani powiedział, do jakiej zbrodni?

— Naturalnie. Jest to jedyny szczegół w całem pańskiem opowiadaniu, który chciałabym poznać — odparło dziewczę spokojnie.

Nieznajomy spojrzał na nią zdumiony.

— Pani ma silniejsze nerwy, niż myślałem. — Ale to pani nie obroni. Pani zapewne przypuszcza, że mówię tylko to, com słyszał, a ja mam dowody w ręce, proszę pani!

Podszedł ku niej i szeptał jej prawie do ucha.

— Mąż pani owej nocy powrócił do domu Hanier'a i z zimną krwią go zastrzelił. Mąż pani jest mordercą i jeżeli gdzieindziej opowiem to, co pani tutaj słyszy, to mąż pani pójdzie do więzienia, zginie z ręki kata.

Słowa te wypowiedziane tak cicho, że tylko Linka je słyszała, nie wywarły na nią jednak takiego wrażenia, jakiego się spodziewał nieznajomy. Cofnęła się trochę, patrzała nań przez chwilę i zdawało się, że się serdecznie śmiała. Znać to było po masce na twarzy. Opanowała się natychmiast i rzekła:

— Czy pan będzie miał dowody na to, co pan powiedział przed chwilą, o tem raczej nie mówmy. Ale zdaje mi się, że pan miał jakiś cel, wzywając mnie tutaj na schadzkę. Mogłabym wiedzieć, jaki?

— Zatrzymam to wszystko w tajemnicy — mówił dalej nieznajomy stłumionym głosem — ale pod pewnymi warunkami.

— Proszę, pod jakimi?

— Musi mi pani udzielać objaśnień w pewnych sprawach i to zawsze, kiedy zażądam. Mąż pani stoi na czele tajnego stowarzyszenia, które jest wrogiem dla partyi, jakiej ja służę. Mam podstawy do przypuszczenia, że pani o tem dotychczas nie wiedziała, więc przy sposobności udzielę pani bliższych w tej sprawie szczegółów. Na razie wystarczy, jeśli pani powiem, że mąż pani posiada największe zaufanie stowarzyszenia, zna wszystkie jego tajemnice i ma swej pieczy powierzone najważniejsze tajne dokumenty. Musi się pani dowiedzieć, gdzie on je przechowuje i postarać się je zbadać, aby mi o nich dać znać. Jeśli mi pani tego nie przyrzeknie, to ja doniosę o tem, com pani mówił, policyi. Może pani wybierać. Na cóż się więc pani decyduje?



...Mąż pani jest mordercą i jeżeli gdzieindziej opowiem to, co pani tutaj słyszy, to mąż pani pójdzie do więzienia i zginie z ręki kata...

— Może mi pan powie, kto pan jest? — zapytało dziewczę po chwili.

— Dowie się pani o tem we właściwym czasie. Naprzód mi pani musi dać przyrzeczenie.

— Nie potrzebuję już, aby mi pan swe nazwisko wymieniał, ja pana już poznałam — rzekło dziewczę, mierząc go badawczem spojrzeniem. — Gdybyś pan był wiedział, kto ja jestem, byłoby to dla pana znacznie lepiej. List pański nie był do mnie pisany, ale ja go czytałam. Zapomniałeś się pan podpisać. Nazwisko zaś, jakiego tam brakowało, brzmi — ja je panu wymienię — brzmi Robert Johnson!

Chociaż nieznajomy był zamaskowany, jednakże widać było, jakie piorunujace wrażenie zrobiły na nim te słowa. Bo odkrycie Linki było dlań prawdziwą niespodzianką. Wprawdzie znał on kobietę, do której pisał list i której schadzkę naznaczył, ale znał ją tylko z widzenia, nie mając zaś nigdy sposobności do mówienia z nią, nie znał zupełnie jej głosu. Kobieta zaś, z którą teraz rozmawiał, a w której Czytelnik zapewne już się domyślił Linki Pond, znała naturalnie doskonale nietylko jego głos, ale wszystkie jego ruchy. Spostrzegła się też odrazu, z kim ma do czynienia; sama zaś potrafiła doskonale zachować swoje *incognito*, gdyż ciekawą była, w jaki sposób on się będzie wyrażał o pułkowniku i o miss Desmond, bo zresztą z jego słów mogła sobie także wyrobić zdanie o jego charaterze. Kimże bowiem był ten Robert Johnson, któremu ona tak bezgranicznie ufała, którego nawet pokochała? Z pewnością nie takim, jakim im się wydawał! Może to rozbójnik, nihilista, wydrwigrosz?

Tego nie mogła na razie rozstrzygnąć.

W ostatnich dniach miss Desmond zwierzyła się Lince z pewnemi rzeczami, które dotychczas były dla niej tajemnicą. Stosunek ich wzajemny zmienił się więc zupełnie, stał się więcej blizkim, bardziej serdecznym. Linka wiedziała już, że podejrzenie jej co do zachowania się miss Desmond wobec Hanier'a było zupełnie nieuzasadnione, bo pułkownikowa nie złamała nigdy wiary małżeńskiej. Co do możliwości morderstwa, Linka samą myśl o tem odrzucała z największą pogardą. Posiadała przytem tę przytomność umysłu, która jej pozwalała wyciągnąć od Johnsona wszystkie szczegóły i nie dać mu się poznać. Johnson bowiem musiał dojść do przekonania, że rozmawiał nietylko nie z pułkownikową, ani nawet nie z Linką, lecz z kobietą zupełnie mu nieznaną, co mogło dla niego być bardzo niebezpiecznem.

Chociaż jednak Johnson widział, że jest zwyciężony, to jednak nie należał on do ludzi, których niepowodzenie odrazu zniechęca. Raz pobity odrazu postanowił się zemścić. Posunął się więc kilka kroków naprzód, chcąc nieznajomej zerwać maskę z twarzy i w ten sposób dowiedzieć się, co ona za jedna. Ale nieznajoma zdawała się przeczuwać, co on ma zamiar zrobić i cofnęła się wsteez, a w tej samej chwili z poza kotary wydarł się głośny krzyk, zasłona rozdarła się w połowie, ozwał się łomot spadających desek i pak. Zamieszanie, jakie wskutek tego musiało powstać na sali, dopomogło Lince w ucieczce.

Cóż się jednak stało?

Miss Desmond, znalazłszy się poza zasłoną, uważała z początku tylko na rozmowę, jaką prowadzono w niewielkiej od niej odległości. Wkrótce jednak przeszkodzono jej. Usłyszała bowiem przybliżające się ku niej ze sceny głosy, a zaraz potem spostrzegła pięciu panów, którzy tuż obok niej prawie, zasłonięci jeno kulisami, żywo ze sobą rozmawiali. Wszyscy mieli na sobie czerwone domina i białe jedwabne maski. Widocznie byli przekonani, że są zupełnie bezpieczni, bo nawet dwóch z nich zdjęło maski, ale z powodu półmroku, jaki za zasłoną panował, miss Desmond nie mogła dojrzeć ich rysów.

Teraz tuż za nią rozległ się odgłos kroków. Spojrzała... jakaś czarna postać, jak kot, cicho i bez szelestu podchodziła ku miejscu, gdzie byli zebrani owi panowie w czerwonych dominach. Równocześnie jednak i oni posunęli się ku niej jeszcze bliżej, tak, że rozdzielało ich zaledwie cienkie płótno kulisy.

— Tu będzie lepiej! — rzekł ktoś obok niej.

Jakkolwiek brzmiały te słowa, w każdym razie jednak wywarły one na miss Desmond niesłychane wrażenie. Pułkownikowa poczęła się trząść nerwowo, w głosie tym poznała bowiem głos pułkownika.

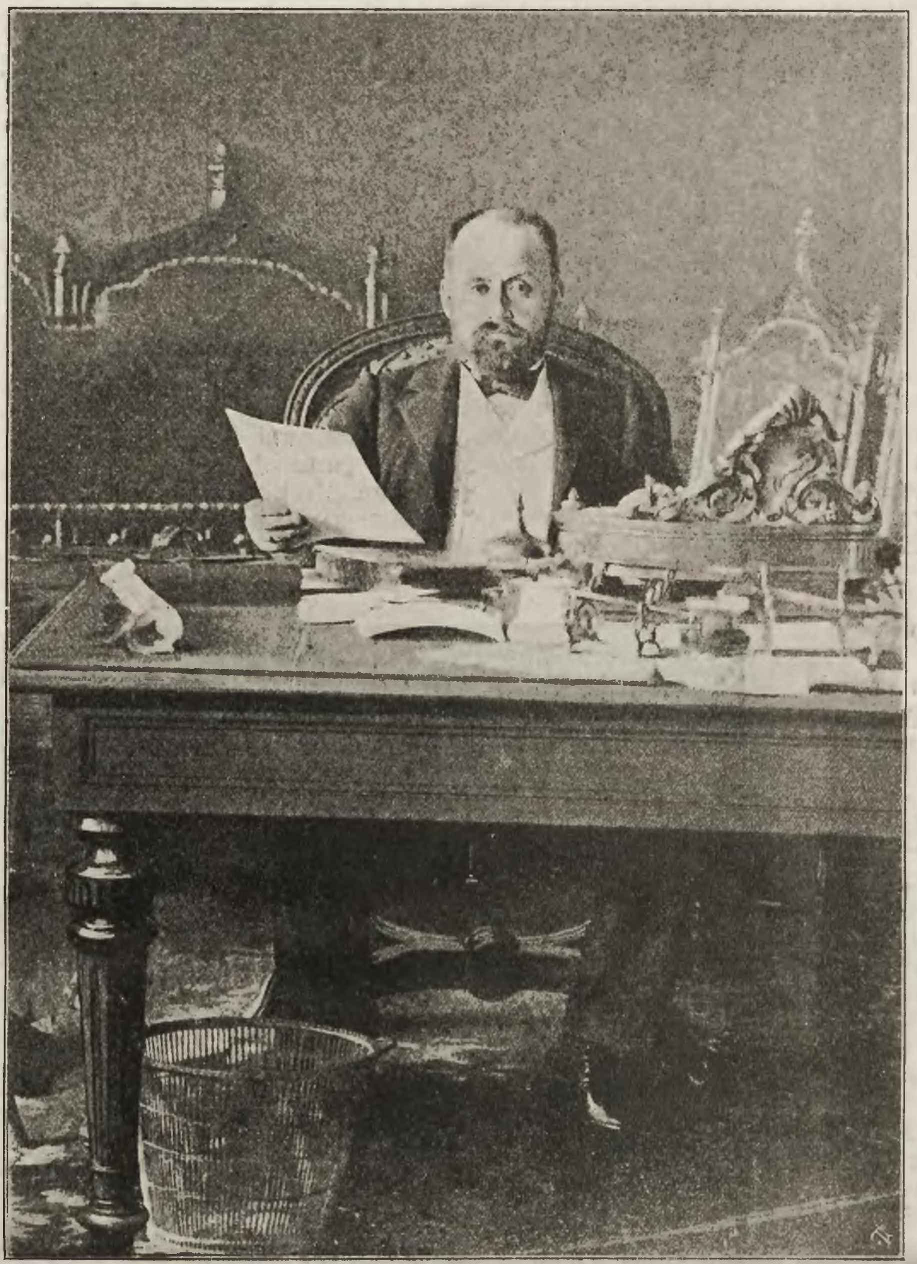
A więc on nie pojechał do Filadelfii!

Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy, była: uciekać. Kiedy się jednak odwróciła, aby uciec, spostrzegła ową czarną postać, która właśnie chroniła się za kulisę. Spostrzegła długą, wychudłą twarz, dwoje bystrych oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Co za zuchwalstwo!

Czytelnicy gazet od długiego już czasu nie mogą się użalać na brak sensacyi w politycznych wypadkach. Skończyła się wojna na Dalekim Wschodzie, ale nie ustaje rewolucya w Rosyi. Nie dość tego. Poza wojną cłową, toczącą się dziś bezkrwawo między Serbią a Austryą, coś się gotuje w południowej Słowiańszczyźnie, to znów poza konferencyą w Algesiras zaczyna się kotłować w samem Marokku, a politycy węszą bez końca — co też będzie między Francyą a Niemcami. Aż tu wreszcie nowa sensacya, której na imię: Wenezuela, czyli zuchwalstwo p. Castro. Naprzód nadszedł z Willemstadu, stolicy Curaçao (wyspy holenderskiej w Indyach zachodnich) ważny telegram: „Po zerwaniu dyplomatycznych stosunków Francyi z Wenezuelą i brutalnem wypędzeniu p. Taigny, francuskiego zastępcy posła z urzędnikami francuskiej kompanii Kablu, prezydent Castro zapowiada, że każe strzelać do każdego okrętu francuskiego, który pojawi się w La Guayra. Położenie poważne, groźne. W Caracas, gdzie krajowa prasa podżega ludność przeciw Francuzom, panuje istna panika. Castro jest ogromnie czynny, wysyła wojsko, amunicyę i żywność do portów“... Wszystko to piękne, ale Wenezuela, którą rządzi Castro, jest państewkiem słabem, gdy Francya bądź co bądź — potężną. Przebiegły prezydent Castro ma jednak za sobą niejedną stronę korzystną. Jest przedewszystkiem odległość: wszak Francya musi się wahać z wysłaniem silniejszej floty swojej w chwili, kiedy nie wie czy jej nie będzie potrzeba na wodach europejskich lub afrykańskich. Wprawdzie możnaby poprzestać na blokadzie jednego czy drugiego portu wenezuelskiego i zajęciu dochodów cłowych. Aliści wenezuelskie dochody cłowe nie należą dziś do Wenezueli — tylko do innych państw, głównie do Niemiec, które je zasekwestrowały. Więc blokada tylko podobałaby się prezydentowi Castro, który rzekłby sobie wtedy: teraz nie potrzebuję płacić wcale długów. Byłby dla Francyi sposób jedyny: wejść w układy ze Stanami Zjednoczonemi, które mają również rachunki z Wenezuelą. I już zaczęto układy takie w Waszyngtonie, gdy pojawiły się nowe komplikacye. P. Taigny porozumieć się nie może z Paryżem, bo zuchwały p. Castro przejął depesze rządu francuskiego z instrukcyami dla p. Taigny, co pogorszyło sytuacyą. Podobny los spotkał depeszę z Waszyngtonu do posła amerykańskiego w Caracas, któremu Castro okazuje niechęć nie mniejszą, jak zastępcy Francyi. Już więc i w Stanach Zjednoczonych przebąkują, że gotowa zajść konieczność wysłania okrętu wojennego Stanów „bliżej do Wenezueli aniżeli jest zwyczajem“.



Co za zuchwalstwo: Castro, prezydent amerykańskiej republiki Wenezueli.

Nie koniec wreszcie zuchwalstwa prezydenta Castro (którego ciekawi czytelnicy poznają z załączonej podobizny). Ośmielony brakiem stanowczości ze strony republiki francuskiej, odwołał wszystkich konsulów i agentów swoich z Francyi, a konsulom francuskim wymówił tzw. „exequatur“. Naturalnie rząd paryski musi postąpić tak samo ze swymi urzędnikami w amerykańskiej republice. Prasa już nawołuje rząd, by nie zwlekał z daniem porządnej nauczki zuchwałemu p. Castro. Blokada nie wystarcza; trzeba, żeby okręty francuskie weszły do portów wenezuelskich. Armia prezydenta Castro (na załączonej rycinie widzą Czytelnicy jego „czarną gwardyę“), jest nieliczna, ma 16 tysięcy żołnierzy i nie może stawić poważnego oporu. Po za p. Castro domyśla się opinia silnych wpływów niemieckich, niektórzy zapewniają, że jest on narzędziem Wilhelma II. i że Francya znajdzie w Wenezueli Niemcy tak, jak je znalazła w Marokku i na innych punktach, gdzie wszędzie starają się one utrudniać jej działalność dyplomatyczną i wszelką inną.



Co za zuchwalstwo: „Czarna gwardya“ prezydenta Castro w Wenezueli.

Ksiądz — działacz społeczny.

Humanitarne dobroczynne instytucye warszawskie, zapobiegające nędzy wśród mas proletaryatu szczyciły się i szczycą zawsze czynnym udziałem i poświęceniem wielu z pośród kapłanów katolickich, którzy umieli niejednokrotnie powoływać do życia nowe towarzystwa i instytucye. Chrześciańska ta społeczna akcya, podejmowana z dobrą



Ksiądz działacz społeczny: Ksiądz prof. Godlewski w Warszawie.

wiarą, poświęceniem, gorliwością i zapałem nieraz, a zawsze w imię szczytnego przykładu założyciela szpitala Dzieciątka Jezus, ks. Baudoina, liczy już długi szereg kapłanów, wśród nich starszych już dziś, jak ks. kan. Chełmicki i kilku młodszych, jak ks. Kirchner, ks. Gąsowski i ks. Godlewski.

Ten ostatni, do niedawna profesor warsz. seminaryum duchownego, porzucił przed rokiem to stanowisko, aby za przykładem tamtych, i piórem i słowem i czynem podjąć szerszą akcyę wśród ciężkich przejawów doby współczesnej.

Zbrojny w głębszą naukę, w dar wymowy, piórem i żywem słowem, a nadewszystko silny zasadami wiary, miłości ojczyzny i ubogich duchem, wystąpił niedawno na widownię, w chwili ścierania się różnych prądów społecznych i skrajnych, nawołując do zrzeszania się w imię haseł społecznych, chrześciańskich. Między innemi wystąpił w sprawie zawiązać się mającego związku stróżów domowych, przeciwdziałać pragnąc wpływom partyj socyalnych,



Fot. Bahrynowicz, Lwów.
Pierwsze kobiety znawczyniami-lekarkami w sądzie: Dr. med. Flora Ogórkówna we Lwowie.

które skutkiem tego nie poszczędziły mu pierwszych cierni na rozpoczętej drodze działania w duchu narodowym i chrześciańskim, tak, jak to spotkało już i prawdziwie zasłużonego na polu akcyi humanitarnej drugiego działacza ks. Gąsowskiego.

Ks. Godlewski, którego podobiznę zamieściliśmy na poprzedniej stronie, znany jest również w piśmiennictwie z wielu cennych prac i artykułów, drukowanych w wydawnictwach warszawskich. *B-t.*

Pierwsze kobiety znawczyniami-lekarkami w sądzie.

Pisma codzienne doniosły niedawno o mianowaniu pierwszych w Austryi sądowych znawczyń-lekarek, (na razie dla spraw o unieważnienie małżeństwa), któremi zostały pp. dr. Zofia Moraczewska i dr. Flora Ogórkówna, obie we Lwowie.

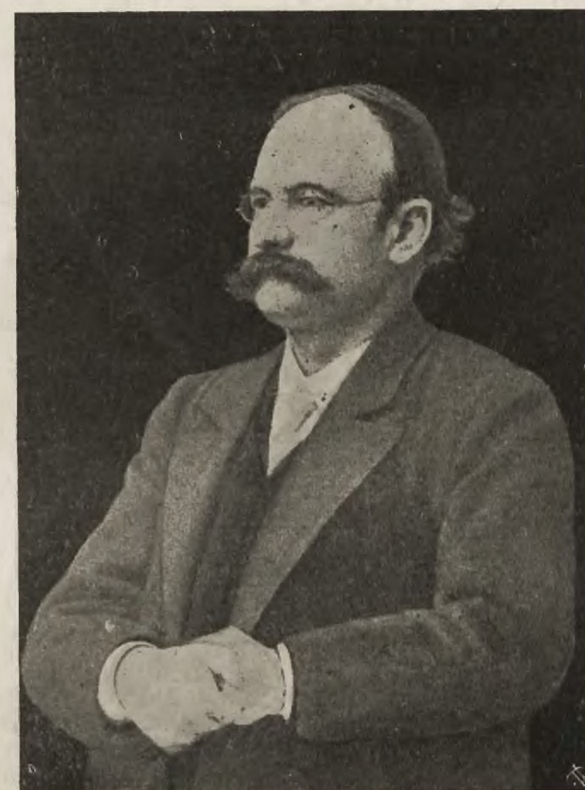
Dr. Zofia Moraczewska po złożeniu egzaminu dojrzałości, wyjechała na studya uniwersyteckie do Zurychu i tam uzyskała stopień doktora wszech nauk lekarskich. Po kilkuletniej praktyce za granicą wróciła do kraju, nostryfikowała dyplom doktorski na uniwersytecie w Krakowie, poczem osiadła we Lwowie i tu prowadzi dalszą praktykę. Mąż jej, dr. Wacław Moraczewski, jest również znanym lekarzem, ordynującym podczas sezonu kąpielowego w Karlsbadzie.

Dr. Flora Ogórkówna, córka profesora gimnazyum niemieckiego we Lwowie, studyowała medycynę na uniwersytecie we Wiedniu i tam uzyskała doktorat — pierwsza w całej Austryi. Kształciła się również p. Ogórkówna na uniwersytetach zagranicznych. Obecnie praktykuje we Lwowie.

Mianowanie pp. Moraczewskiej i Ogórkównej znawczyniami sądowemi jest doniosłym krokiem naprzód w kierunku równouprawnienia kobiet, dla nas zaś ma ono znaczenie tem większe, że obie pierwsze w Austryi znawczynie sądowe (których portrety z tego powodu tutaj podajemy) są i z pochodzenia i z przekonania Polkami.

Następca prof. Korczyńskiego.

Zmarły w ubiegłym roku dr Edward Korczyński rozwinął jako dyrektor terapeutycznej kliniki w Krakowie taką szeroką działalność pedagogiczną



Następca prof. Korczyńskiego: Przyszły dyrektor kliniki terapeutycznej w Krakowie, profesor dr. Walery Jaworski.

i naukową, postawił klinikę na takim wysokim poziomie, iż rzeczywiście, długo trzeba było szukać lekarza, któryby był godny zająć po nim to zaszczytne i pełne odpowiedzialności stanowisko. Kwestya, kto będzie następcą śp. Korczyńskiego, była też od kilku miesięcy przedmiotem ogólnego zainteresowania zwłaszcza w kołach lekarskich. Należało bowiem wybrać człowieka, któryby był zdolny zachować wielkie tradycye swego poprzednika i przynajmniej utrzymać wysoki poziom, na jakim klinikę zostawił śp. Korczyński.

Senat uniwersytetu Jagiellońskiego, który wybiera i przedstawia ministerstwu oświaty kandydatów na dyrektora kliniki, po długich wahaniach zdecydował się przedstawić jednego tylko kandydata, jako najbardziej odpowiedniego do zajęcia tego stanowiska. Kandydatem tym jest dr Walery Jaworski, którego portret z tego powodu podajemy powyżej.

Przyznać trzeba, że wybór senatu pozyskał odrazu ogólne uznanie. Dr Jaworski jest bowiem postacią w świecie lekarskim powszechnie znaną i poważaną, w szerokich zaś kołach ludności zasłużonem cieszący się uznaniem. Jako lekarz, zwłaszcza jako praktyk, jest jedną z największych znakomitości; wystarczy wspomnieć, że sława jego zaszła daleko poza granicę naszego kraju, że nawet wrogowie nasi kornie przed jego wiedzą chylą czoło. Można się więc spodziewać, że klinika krakowska pozyska w nowym swoim dyrektorze człowieka, który ją na wyższy jeszcze wzniesie poziom, aniżeli to zrobił jego poprzednik.

Walery Jaworski urodził się w roku 1849 we Florynce pod Nowym Sączem. Studya gimnazyalne ukończył w Przemyślu, poczem na wszechnicy lwowskiej studyował filozofię, a następnie na uniwersytecie krakowskim medycynę. Przez kilka lat był profesorem chemii w krakowskiej szkole realnej. W roku 1880 otrzymał stopień doktora medycyny. W dwa lata później habilitował się w Krakowie jako docent, a w roku 1889 został profesorem medycyny wewnętrznej. Przeprowadził liczne badania doświadczalne i kliniczne nad sprawami trawienia, nad zachowaniem się gazów w żołądku a w ogólności nad mechanizmem i chemizmem czynności żołądka. Z pod pióra jego wyszedł cały szereg rozpraw, zamieszczanych w czasopismach le-



Pierwsze kobiety znawczyniami-lekarkami w sądzie: Dr. med. Zofia Moraczewska we Lwowie.

karskich polskich i zagranicznych. Rozprawy te co do swej wagi i zawartych w nich nowych często-kroć poglądów, zyskały uznanie najwybitniejszych lekarzy europejskich.

Wobec tego, że dr Jaworski jest jedynym kandydatem na stanowisko dyrektora kliniki, nie ulega wątpliwości, że ministeryum kandydaturę jego przyjmie, czego zresztą życzyć sobie należy.

Wiceburmistrz Tarnowa.

W tych dniach zmarł po dłuższej chorobie, przebywający chwilowo w Krakowie, wiceburmistrz miasta Tarnowa, dr. Stanisław Sternberg Stojałowski, przeżywszy lat 49.

Nieboszczyk był wybitnym obywatelem Tarnowskiego grodu, gdzie prowadził kancelaryę adwokacką. Jemu między innymi wiele zawdzięcza tamtejsza ochotnicza straż pożarna, na której czele stojąc, okazał niezwykłą energię.

Obywatele powierzyli drowi Stojałowskiemu swoje zastępstwo w Radzie państwa, do której posłował z kuryi miast Bochnia — Tarnów. Zmarły należał do Koła polskiego w Wiedniu.

Prezes Izby poselskiej przed rozpoczęciem onegdajszego posiedzenia, poświęcił zmarłemu posłowi wspomnienie pośmiertne.

Zwłoki wiceburmistrza Stojałowskiego przewiezione z Krakowa do Tarnowa, gdzie odbył się pogrzeb uroczysty po nabożeństwie żałobnem w miejscowej katedrze.

Dla przypomnienia licznym znajomym rysów twarzy zmarłego posła i adwokata krajowego, podajemy obok jego fotografię.



Wiceburmistrz Tarnowa: Zmarły w tych dniach adwokat krajowy, dr. Stanisław Stojałowski, poseł do Rady państwa.

W sprawie naszej wielkiej szarady.

Stosownie do zapowiedzi w Nr. 52 naszego pisma, o przyznaniu dalszych pięciu nagród za dobre rozwiązanie wielkiej szarady, wylosowano w ciągnieniach loteryi berneńskiej z 31 stycznia i lwowskiej z 3 lutego, następujące numery:

Berno: 89. 65. 51. 21. 22.

Lwów: 2. 21. 24. 33. 65.

Numery loteryi berneńskiej oznaczają serye, numery loteryi lwowskiej liczby porządkowe wygrywających. Według tych ciągnień,

nagrody otrzymali:

Nagroda szósta: serya 89, numer 2, WP. L. Flaunhaft, Kraków.

Nagroda siódma: serya 65, numer 21, WP. L. Świtalski, Pnikut.

Nagroda ósma: serya 51, numer 24, WP. L. Wierzbowski, Lwów.

Nagroda dziewiąta: serya 21, numer 33, WP. L. K. Zięba, Raniżów.

Nagroda dziesiąta: serya 22, numer 65, WP. K. Opolski, Mościska.

Plotki lwowskie.

(Tajemnicze konsorcyum a moje badania. — Członkowie konsorcyum. ich kwalifikacye i agendy. — Jeszcze jest miejsce. — List otwarty p. Grąbczewskiego. — Jego skromność. — Co będzie w drugim liście? — Pani Klaudya Majewska na wolności. — Magnetyzm oczu, czyli sąd przysięgłych w opałach. — Niema pięknej kobiety zbrodniarki. — Zdania pp. Jankowskiej, Miłowskiej, Ciapci i Wojnowskiej. — Dwie historyjki. — Kupno biurka. — Po ćo my jedli? — Fatalne kalendarze p. kapitana, a mądra głowa Herscha Springera).

Na dzierżawę teatru miejskiego wpłynęło kilka ofert, z których najciekawszą, najmistyczniejszą i najbardziej interesującą jest oferta jakiegoś bezimiennego konsorcyum z adwokatem Kamieńskim na czele, czy w roli zastępcy prawnego bezimiennych kapłanów przyszłej Melpomeny lwowskiej. Zaciekawienie w mieście ogromne, a wszelkie domysły, kto do konsorcyum należy, jaki jego program itd. pozbawione są wszelkiej podstawy. Mając specyalne zamiłowanie do badania mglistych, tajemniczych spraw, przeznaczyłem sobie cały tydzień ubiegły na wytropienie członków konsorcyum i odkrycie ich programu, co mi się też w zupełności udało. Dzięki temu jestem w możności pierwszy podać kilka autentycznych dat, dotyczących tajemniczej oferty.

Przypominacie sobie, że przed niejakim czasem kilkudziesięciu radnych lwowskich, czując w sobie wenę teatralną i powołanie do kierowania teatrem, usiłowało za każdą cenę wtargnąć do komisyi teatralnej. Gdy zamach udaremniono, a komisya teatralna dotychczas się nie zebrała, zgromadzili się wszyscy kandydaci do komisyi u jednego z tutejszych adwokatów i na wniosek najbardziej zapamiętałego uchwalili jednogłośnie nie ubiegać się dalej o mandaty do komisyi teatralnej, natomiast zawiązać silne konsorcyum, rodzaj spółki artystycznej celem objęcia całego teatru w dzierżawę.

Powstało więc konsorcyum, w którego skład wchodzą: dwaj adwokaci, dwunastu członków strzelnicy różnych zawodów, jeden specyalista chorób wewnętrznych, jeden chorób zewnętrznych, jeden akuszer, dwóch inżynierów, jeden fabrykant pierników. dwóch aptekarzy, sześciu kupców, jeden budowniczy, jeden grajzlernik, jeden emerytowany urzędnik podatkowy, dwóch znakomitych rzeźników, trzej krawcy, dwóch fabrykantów kosmetyków i perfum, jeden profesor uniwersytetu, trzech właścicieli restauracyi, jeden śpiewak operowy, jeden fryzyer i perukarz, jeden bankier i jeden operator nagniotków. Trudno chyba o bogatszy i bardziej skombinowany skład konsorcyum, którego członkowie rozmaitością swoich zawodów dają chyba rękojmię wszechstronności przyszłej dyrekcyi teatru.

Co do samego programu prac, to tylko niewiele wolno mi zdradzić. Tyle więc mogę powiedzieć, że agendy rozdzielili członkowie między sobą w ten sposób, że każdy obejmuje referat stosownie do swoich zdolności fachowych. Najwięcej do czynienia mieć będą: bankier, dwaj rzeźnicy i trzej lekarze. Kłopot tylko z grajzlernikiem i profesorem uniwersytetu, wykładającym historyę naturalną, bo trudno im znaleźć stosowne referaty. Nad repertuarem zastanawia się całe konsorcyum *in corpore* nie wyłączając operatora nagniotków, który ma być zdecydowanym przeciwnikiem modernistycznego dramatu. Jeden z restauratorów wymówił sobie z góry prowadzenie indeksu wyklętych sztuk i na pierwszem miejscu umieścił „Złote runo“ Przybyszewskiego. Nadzór nad personalem żeńskim obejmuje bankier i fabrykant pierników, zaś chórem damskim i baletem zajmuje się aptekarz i jeden z lekarzy. Redakcyę komunikatów obejmuje śpiewak operowy. Obaj rzeźnicy oświadczyli się stanowczo przeciw operze i innym drogim spektaklom, na czem cierpi konsumcya mięsa, a są za wystawianiem sztuk takich, w których się dużo je i pije. Emerytowany urzędnik podatkowy radził opodatkować gaże artystów na rzecz konsorcyum i wprowadzić stempel teatralny od każdej roli, lecz pozostał z wnioskiem swoim w olbrzymiej mniejszości dzięki świetnej replice weterynarza, opiekuna całego inwentarza teatralnego z wyłączeniem światła i damskiej garderoby, które przydzielono profesorowi.

Konsorcyum nie jest bynajmniej zamknięte i zupełne, gdyż brak w niem jeszcze przedsiębiorcy pogrzebowego, betoniarza, fabrykanta waty, tudzież dziennikarza. Ci, którzy czują w sobie powołanie, niech się zgłoszą do adwokata Kamieńskiego w godzinach urzędowych.

Odsłoniłem rąbek czarnej tajemnicy, a uczyniłem to tylko dla zaspokojenia palącej ciekawości teatromanów, ich żon i córek. Proszę jednak bardzo o dyskrecyę.

Jeżeli konsorcyum to działa cicho i tajemniczo. co mu wszyscy za złe biorą, to natomiast pochwalają wszyscy otwarte wystąpienie p. Grąbczewskiego, który odpowiedział „listem otwartym“ na wszystkie ataki prasy, ażeby wszystkim recenzentom raz na zawsze usta zamknąć, a całej publiczności usta otworzyć (nb. z podziwu). W tym liście otwartym przyznaje p. Grąbczewski otwarcie, że jest znakomitym śpiewakiem, nie kryje się z tem wcale, że ma wielki talent i prześliczny głos, zdradza nawet, że bezinteresownie objął dyrekcyę opery we Lwowie, wyznaje, że bezpłatnie uczył młodych śpiewaków — to wszystko czyni szczerze, sympatycznie, otwarcie. Bo na co by się przydało ukrywać? My przecież wiemy, że człowiek. który obejmuje posadę kierownika opery za marnych kilka tysięcy miesięcznie, czyni to bezinteresownie, a tylko z miłości do sztuki narodowej. To też słusznie oburzony jest p. Grąbczewski na recenzentów, którzy jego poświęcenia i zasług nie uznają. Nagadał więc recenzentom, co im się należało, otwarcie, uspokoił opinię publiczną i byłoby wszystko w największym porządku, gdyby owi recenzenci nie byli rozebrali pojedynczych ustępów „otwartego listu“ wykazując fałsz po fałszu. Na to p. Grąbczewski już nie liczył, bo nie byłby tyle — napisał. Jako śpiewak operowy nie mógł tego swoją drogą przewidzieć, tak samo, jak i o tem zapomniał, że ci bezinteresownie kształceni uczniowie mogą po przeczytaniu „otwartego listu“ wydrukować w dziennikach otwartą odpowiedź i zadać kłam skromnemu samochwalstwu pana dyrektora opery. Teraz przygotowuje podobno p. Grąbczewski drugi list otwarty, w którym otwarcie przyzna, że pierwszy list otwarty nie był całkiem otwarty. Cała otwartość p. Grąbczewskiego ma swój motyw w tej okoliczności, że należy on do konsorcyum, starającego się o teatr i dlatego chodzi mu o opinię...

Za to nic nie dba o opinię moja sąsiadka z drugiej ulicy, pani Klaudya Majewska, która w ubiegłym tygodniu opuściła areszt śledczy i spacerując po ulicach Lwowa, wywołuje furorę jako bohaterka dnia. Nigdy o takiej reklamie nie marzyła, a niejedna piękna pani zazdrości jej tej reklamy i rozgłosu. Prawda, że trzeba będzie stanąć przed sądem, ale to właśnie będzie tylko dalszym stopniem rozgłosu, poczem wyawansuje na sławę europejską. Bo chyba nie ulega żadnej wątpliwości, że gdy piękna oskarżona smętnem okiem powiedzie po dwunastu sędziach przysięgłych, to ma ich wszystkich w kieszeni i dwunastu srogich sędziów przemieni w mig w dwanaście potulnych baranków, gotowych na jej skinienie łasić się u stóp pięknej „zbrodniarki“. Piękna kobieta zbrodniarką — to paradoks, któremu już nasi praojcowie kłam zadali. Bo albo wszystkie one są zbrodniarkami, albo żadna — jak powiada panna Jankowska, a panna Miłowska i Ciapcia dodają: żadna, wbrew zdaniu panny Wojnowskiej, która twierdzi, że wszystkie.

Dość, że obrońca pani Majewskiej będzie miał zadanie łatwe i bardzo wdzięczne, a co do pani Klaudyi to, gdybym był dyrektorem teatru, zaangażowałbym ją bodaj na statystkę. Przez jaki rok miałbym teatr tak wysprzedany, że pan Ringler nie mógłby ani jednego ze swoich gości do teatru wprowadzić.

Na zakończenie dwie autentyczne bajeczki. U pana Jana Z., bogatego choć skąpego kawalera siedzi kolega biurowy pan Gustaw D. Pan Gustaw podziwia piękne urządzenie mieszkania swego kolegi, a najwięcej imponuje mu misternie skonstruowane biurko, ulubione biurko pana Jana. Pyta kolegi, czy nie sprzedałby mu biurka, a gotów każdą cenę zapłacić. Pan Jan był dziwakiem. Ceny żadnej nie podaje, bo to biurko nie da się ocenić. ale ma warunek... „Oto stoi tu na biurku gruba i długa świeca milowa — zjedz tę świecę, a biurko twoje. to jest moja ostatnia cena“. Pan Gustaw znał konsekwencyę swego kolegi, a że miał apetyt na biurko, więc musiał mieć i na świecę. Zaczął jeść. Gruba i długa „bida“ i mocno nieapetyczna. Ale warto jeść... Jadł z wysiłkiem, ale jadł. Coraz mniej mu smakowało, aż był bliskim ...fe! Lecz nie dawał po sobie poznać i jadł powoli dalej. Teraz i pan Jan zaczął się niepokoić. Kolega już zbliża się do połowy i biurko dyabli wezmą! Lecz Gustaw nagle jeść przestał, bo już dalej nie szło, a żal mu było, że tyle zjadł darmo... — „Wiesz co — mówi — widzę, że ci żal biurka. lituję się nad tobą, więc zjedz drugą połowę świecy, a biurko będzie twoje“... Jan podskoczył z radości. Chwycił świecę i zaczął szybko chrupać. Nie smakowało mu, zmęczył się, pocił, ale zjadł wszystko w przeciągu kwadransa... Obaj koledzy popili winem a pan Jan już uspokojony, po pewnym namyśle zauważył filozoficznie: — „Biurko było moje, biurko jest moje, więc powiedz mi na jakiego dyabła mieliśmy do spółki zjeść tę świecę“...

Głębsi myśliciele chcą w tej bajeczce domyśleć się aluzyi do stosunków teatralnych lwowskich. Może..

Druga dykteryjka jest najzupełniej autentyczną. Hersch Springer jest kolporterem, sprzedającym książki i kalendarze po kawiarniach lwowskich. W kawiarni „Metropol“ przystępuje Springer do kapitana H...era, proponując mu kupno dwóch kalendarzy za dwie korony. Kapitan jakoś nie bardzo się spieszy do kupna, ale żeby się pozbyć natrętnego Springera, powiada mu:

— Idź pan do mojej żony, ja mieszkam przy Piekarskiej 1. .... to żona tam u pana kupi te kalendarze, bo ona to chętnie czyta.

Ale dowcipny Springer perswaduje, że przecież to jakoś lepiej „pasuje“, jak p. kapitan przyniesie pani kapitanowej do domu niespodziankę. takie ładne dwa kalendarze. Kapitan zapłacił dwie korony i wziął dwa kalendarze, kontent, że może dalej spokojnie czytać dzienniki.

Po godzinie zabiera ze sobą kalendarze i idzie do domu. U wejścia wita go żona:

— Nacożeś ty kupił jeszcze dwa kalendarze, przecież przysłałeś tu tego żyda z kalendarzami, więc kupiłam i zapłaciłam dwie korony...

— Szelma żyd — powiada p. kapitan — wziął nas na bas, zapamiętał nasz adres i mamy teraz cztery kalendarze; ale czekaj, ja go jeszcze nauczę!

W dwa dni potem siedzi kapitan w kawiarni a po przeczytaniu dzienników zadumał się, wyglądając przez okno na ulicę. I kogo widzi? Herscha Springera, który najspokojniej kroczy, trzymając całą kupę kalendarzy.

— Kelner — woła kapitan — proszę mi tu zawołać tego żyda, który tam poszedł z kalendarzami, bo go koniecznie potrzebuję...

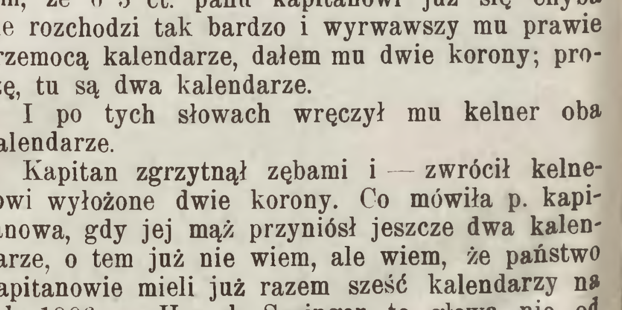
Kelner wybiegł i dopiero po 10 minutach wrócił z tryumfującą miną... niosąc ze sobą dwa kalendarze.

— Musiałem — powiada kelner — wyłożyć za pana kapitana dwie korony, bo w żaden sposób wejść nie chciał; mówił, że p. kapitan skąpy, daje mu tylko 95 ct. za te dwa kalendarze, więc nie chce ich sprzedać niżej dwóch koron, to pomyślałem, że o 5 ct. panu kapitanowi już się chyba nie rozchodzi tak bardzo i wyrwawszy mu prawie przemocą kalendarze, dałem mu dwie korony; proszę, tu są dwa kalendarze.

I po tych słowach wręczył mu kelner oba kalendarze.

Kapitan zgrzytnął zębami i — zwrócił kelnerowi wyłożone dwie korony. Co mówiła p. kapitanowa, gdy jej mąż przyniósł jeszcze dwa kalendarze, o tem już nie wiem, ale wiem, że państwo kapitanowie mieli już razem sześć kalendarzy na rok 1906, a Hersch Springer to głowa nie od parady.

Klewe.





Szach dał Persyi konstytucyę: Muzaffer-ed-Din, szach perski.

Szach dał Persyi konstytucyę.

Coraz silniejsze oddziaływanie wypadków ostatnich w Rosyi na ludy i na rządy w innych państwach, daje się zauważyć już nie tylko w samej Europie, ale i w innych częściach świata. Oto stoimy zdumieni przed faktem, któremu przed rokiem nie dałby nikt wiary, a który dziś staje się zrozumiałym wobec świeżych przewrotów dziejowych. Mówimy o niespodziance, jaką niepostrzeżenie sprawił swojej dobrej znajomej — Europie, nie dawny gość nasz, a „syn słońca“ i „król królów“, szach Muzaffer-ed-Din, nadawszy Persyi konstytucyę. Mało kto przeczuwał, że dojdzie tam do tego w tak krótkim czasie, jakkolwiek już od dawna można było zauważyć, iż sfery oświecone w Persyi dążą energicznie do wzięcia udziału w rządach. Szereg demonstracyj publicznych wywarł wreszcie wpływ decydujący na szacha, który zrozumiał, co mu w porę uczynić wypada. W ubiegłym tygodniu tysiąc kupców i mułłów teharańskich opuściło gremialnie stolicę, maszerując do miejscowości Szabdulasima, dokąd jednak zaraz szach, nie chcąc dopuścić do zaburzeń i krwi rozlewu, wysłał posłów, upełnomocnionych do zawarcia zgody. Po pertraktacyach nawet niedługich, zadecydowano, iż pod prezydencyą szacha już w najbliższym czasie zostanie zwołane zebranie przedstawicieli duchowieństwa, kupiectwa i właścicieli ziemskich pod nazwą „Izby sprawiedliwości“, która będzie działała samodzielnie, wydając prawa i wglądając w działanie władz państwowych. W ten sposób szach z własnej inicyatywy postanowił powołać do życia parlament i zapowiedział szereg dalszych reform. Zresztą już ogłoszono w Persyi równość wszystkich poddanych wobec prawa, a zniesiono dawny system protegowania niektórych rodów i osób. W pierwszym dniu zaraz udzielono dymisyi znienawidzonemu gubernatorowi Teheranu. Przyszła Izba sprawiedliwości (która zbierze się zapewne wcześniej niż pierwsza Duma państwowa w Rosyi) dążyć będzie do usunięcia wszelkich wpływów państw obcych na politykę wewnętrzną w Persyi, zapewne więc przedstawiciele narodu zażądają na początku wydalenia wszelkich urzędników cłowych, którymi w Persyi są dziś Belgijczycy. Na politykę Anglii i Rosyi wobec państwa szacha będzie miała wpływ wielki ta epokowa zmiana w wewnętrznych stosunkach Persyi, stającej naraz w rzędzie państw rządzonych konstytucyjnie.

Dla upamiętnienia tego sensacyjnego faktu przypominamy dziś Czytelnikom podobiznę szacha Muzaffer-ed-Dina, znanego ze swych częstych a głośnych z deszczu „orderów smoka“ — podróży do Europy, w których nieraz zawadza o Lwów, Kraków i Warszawę, (ta mu się szczególniej podoba). Ma on dopiero lat 53 i bardzo liczne potomstwo, w którem jest sześciu książąt i 11 księżniczek. Najstarszy syn i następca tronu, liczący lat 34, nazywa się Muhammed Ali Mirza.

Nestor monarchów.

Zupełną niespodzianką była przed tygodniem śmierć sędziwego króla Chrystyana duńskiego. Najstarszy z monarchów całego świata czuł się bowiem dobrze i cały ranek przyjmował mnóstwo osób na zwykłych posłuchaniach, gdy wtem przy śniadaniu, spożytem z bawiącą od pewnego czasu na jego dworze córką Dagmarą, uczuł się niedobrze i musiał położyć się do łóżka. Wkrótce też umarł wśród objawów paraliżu serca.

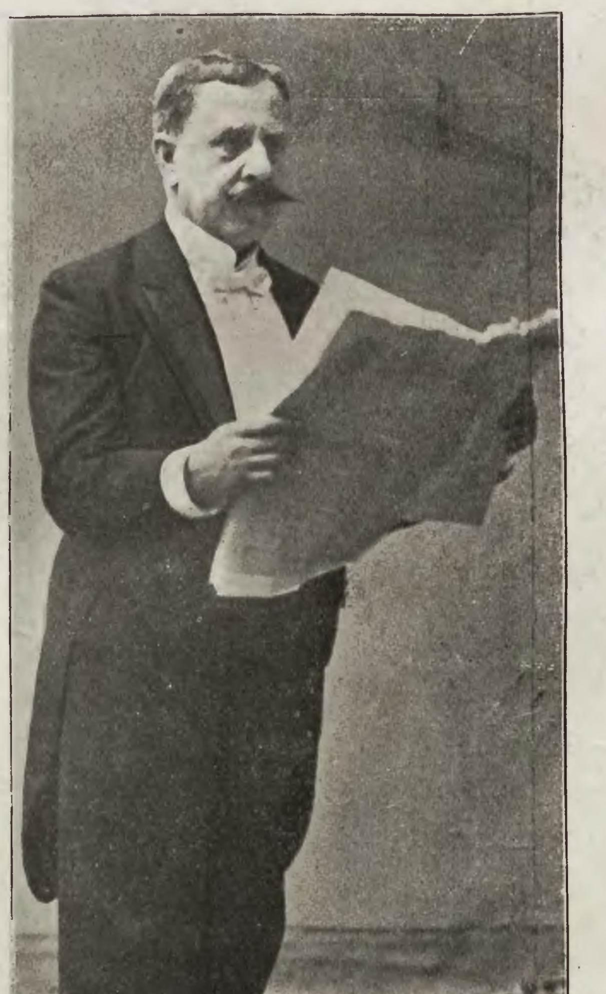
Chrystyan IX. urodził się w r. 1818, jako czwarty syn księcia Fryderyka Wilhelma Szlezwicko-Holsztyńskiego. Ożenił się w 1831 r. z księżniczką Luizą, córką landgrafa Hesko-Kasselskiego i księżniczki duńskiej; to też po wygaśnięciu dynastyi duńskiej naznaczono go w r. 1852 na następcę tronu w Danii, na który wstąpił dopiero w listopadzie r. 1863 po śmierci Fryderyka VII. Zaraz na wstępie zatwierdził nową konstytucyę, w której między innemi Szlezwik został wcielony do Danii. Skutkiem tego wynikła wojna z Rzeszą niemiecką i Chrystyan pokojem wiedeńskim zrzekł się wreszcie księstwa Szlezwiku i Holsztynu oraz Lauenburga.



Nestor monarchów: Zmarły przed tygodniem w Kopenhadze, Chrystian IX, król duński.

Zmarły król miał sześcioro dzieci: księcia Fryderyka, który po nim teraz na tron wstąpił, a którego syn (wnuk Chrystyana) zostawszy niedawno królem Norwegii, wcześniej niżli ojciec otrzymał koronę; drugi syn Chrystyana, Wilhelm, powołany został w r. 1863 na tron Grecyi, jako król Jerzy I; córki zaś równie świetnie powydawał za mąż król Chrystyan, skutkiem czego stał się dziadkiem, ojcem i teściem większej części dworów europejskich. I tak: księżniczka Aleksandra poślubiła w r. 1863 księcia Walii, dziś panującego w Anglii króla Edwarda; księżniczka Dagmara w r. 1866 wyszła za następcę tronu rosyjskiego, późniejszego cesarza Aleksandra III. i pod imieniem Maryi Teodorówny, była cesarzową Rosyi, a dziś jest matką panującego Mikołaja II. Najmłodszą córkę Tyrę wydał Chrystyan za ostatniego króla hannowerskiego, księcia Kumberlandzkiego.

O dobroduszności zmarłego monarchy krąży mnóstwo anegdot. Np. wszedł raz król do szkółki miejskiej podczas nauki. „Wyliczcie mi chłopcy — powiada do dzieci — wielkich królów duńskich“. Uczeń wylicza znane imiona, drugi zaś palce podnosi do góry: „A ty znasz jeszcze jednego? Któryż to?“ Chłopiec odpowiada: „Chrystyan IX“. „A cóż on tak wielkiego zrobił?“ — pyta król wtedy. Uczeń myśli i milczy. „Nie wiesz — dorzuca, śmiejąc się król Chrystyan — to pociesz się, bo i ja nie wiem“.



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.

Nowy prelegent: Publicysta warszawski, dr. Juliusz Bandrowski, czytający z estrady swoją humoreskę.

Nowy prelegent.

Dwukrotnie rozbrzmiewała wielka sala Filharmonii niemilknącemi oklaskami dla nowego prelegenta, który, w Warszawie przynajmniej, po raz pierwszy dał się poznać w tym charakterze na urządzonym podczas przymusowego bezrobocia „Kuryera Porannego“, wieczorze publicznym.

Nowością wieczoru był t. zw. „Dziennik mówiony“ (Journal parlé) redagowany doraźnie pod kierunkiem Dra Juliusza Bandrowskiego od stołu redakcyjnego, przy którym zasiedli obok zaimprowizowanego redaktora, współpracownicy „Porannego“ pp. Kazimierz Ehrenberg, El. (Kazimierz Laskowski), Jan Czempiński, Józef Łoziński, Stefan Dunin, Palemon Magnuski i Ignacy Chabielski.

Po kolei, tak jak piszą do „numeru“, wygłaszali oni doraźnie napisane artykuły z wszystkich działów aż do telegramów i ogłoszeń, a w rzędzie ich największy święcił sukces Dr. Bandrowski wybornie napisanym i wygłoszonym „Przeglądem prasy“ pod intrygującym tytułem „Krowa na plancie“. W humorystycznej tej, z niezwykłym dowcipem napisanej parodyi, scharakteryzował nowy prelegent wszystkie dzienniki warszawskie odnośnie do chwili bieżącej i reprezentowanych przez nie stronnictw politycznych i społecznych na tle opisu wypadku z krową przejechaną przez parowóz na plancie kolejowym.

Niezwykłe powodzenie tej humoreski, zaznaczone nazajutrz w ocenach wszystkich dzienników, zniewoliło dyr. Filharmonii, Rajchmana, do zaproszenia nowego prelegenta na ponowny występ na czwartkowym wieczorze popularnym, a jak się do-



30 tysięcy robotników bez chleba: Składy zamkniętych fabryk Żyrardowskich pod strażą wojskową (zamknięty sklep na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie). (Fot. Kulewski).



Nowy król: Fryderyk VIII., król duński, który świeżo objął rządy po śmierci ojca, Chrystyana IX.

wiadujemy, wystąpi dr. Bandrowski w tymże samym charakterze prelegenta już w sobotę 10 b. m. w Łodzi, a później w Wilnie.

Zamieszczony portret, przedstawiający Dra Bandrowskiego na estradzie, w czasie czytania swej pomysłowej „Krowy na plancie“ przypomni go pamięci szerokich kół w Krakowie i Lwowie z czasów jego tam działalności w charakterze dyrektora teatru lwowskiego i wcześniejszej na różnych polach pracy publicznej. *Sas.*

30 tysięcy robotników bez chleba.

Znana z dzienników sprawa bezrobocia fabryk Żyrardowskich, pozostawienia 30.000 robotników bez chleba i ucieczki członków zarządu, Niemców, do Berlina w obawie zemsty ze strony zrozpaczonych pracowników bez chleba, odbiła się wówczas i w Warszawie. Z nakazu partyj rewolucyjnych zostały zamknięte wszystkie cztery składy i sklepy wyborów Żyrardowskich przy ul. Bielańskiej, Wierzbowej, Nowym Świecie i Krakowskiem Przedmieściu. Władza jednak nie chcąc tolerować tego terroru bezimiennego rządu, nakazała przed tygodniem składy te otworzyć w myśl obowiązujących postanowień generał-gubernatora wojennego, nakładających 3.000 rb. kary lub 3 miesiące więzienia na opornych. Sklepy natychmiast otwarto. Aliści na drugi dzień o jednej i tej samej godzinie południowej, wpadli do każdego z tych sklepów uzbrojeni w rewolwery ludzie i dawszy kilka strzałów w sufity na postrach, kazali znowu zamknąć sklepy pod grozą wyroków śmierci. Terror zrobił swoje. Sklepy zostały zamknięte, mimo, że natychmiast zjawiła się na miejscu policya z wojskiem.

Zarządy sklepowe oświadczyły, iż nie mogą narażać dalej życia współpracowników ani też kupujących. Tak też trwa do dzisiaj! U zamkniętych, podwoi sklepowych stoją z nakazu władzy warty wojskowe w przewidywaniu nowych gwałtów. Przedstawia to załączona illustracya sklepu Żyrardowskiego na Krakowskiem Przedmieściu. Sklepy mają być otwarte dopiero z chwilą puszczenia w ruch fabryk Żyrardowskich *B-t.*

Nowy król.

Najmłodszy król w Europie — z którego portretem zapoznajemy dziś naszych czytelników — najmłodszy, bo dopiero od tygodnia zasiadający na tronie duńskim, po sędziwym ojcu swym Chrystyanie, Fryderyk VIII, jest już sam starcem sześćdziesięciokilkoletnim, urodził się bowiem w lipcu r. 1843, a chociaż nie jest dziadkiem i teściem wszystkich dworów europejskich — jak jego ojciec — to jednak ma również koligacye niesłychane, jakimi nie może poszczycić się żaden panujący. Bo rozważmy tylko... Syn więc nowego króla Fryderyka, drugi po najstarszym, obecnym następcy tronu duńskiego, włożył niedawno na skronie koronę królów norweskich, jako Haakon VII, a szczególnem w tem zdarzeniu jest to, że stał się monarchą panującym o kilka miesięcy wcześniej od ojca, tak jak stryj jego, król Grecyi, Jerzy, który zasiadł na tronie Hellenów wcześniej niż ojciec jego Chrystyan na duńskim.



Olbrzymi wiec Rusinów we Lwowie: Uczestnicy wiecu na Wysokim Zamku, fotografowani podczas jednego z przemówień. (Fot. Münz).



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.

Ostrożności stanu wojennego: Wejście do głównego urzędu telegraficznego w pałacu Brühlowskim w Warszawie, strzeżone obecnie stale przez żołnierza z karabinem.

Bratem więc rodzonym nowego króla Danii jest wspomniany król grecki, siostrą zaś królowa angielska Aleksandra, której mąż Edward VII jest szwagrem Fryderyka VIII. Druga siostra króla Dagmara, dziś nosząca imię Marya Teodorówna, jest cesarzową-wdową i cesarzową-matką, synem jej bowiem jest panujący w Rosyi Mikołaj II. Trzecia siostra Fryderyka VIII wyszła za ks. Kumberlandzkiego, a najmłodszy brat ożenił się z ks. Orleańską, córką ks. de Chartres. Ale nie dość na tem, że nowy król duński jest ojcem króla norweskiego, wujem cesarza rosyjskiego, bratem króla greckiego i szwagrem króla angielskiego. Sam ożeniony 1869 r. z księżniczką Ludwiką, córką trzeciego króla Szwecyi z rodu Bernadottów, Karola XV, posiada liczne potomstwo.

Jedna z jego córek wyszła za ks. Karola szwedzkiego, druga za ks. Schaumburg-Lippe, najstarszy zaś syn, dzisiejszy następca tronu, Chrystyan, ożeniony jest z ks. Meklemburską. Małżonką drugiego syna, zasiadającego na tronie Norwegii, jest jego cioteczna siostra, córka króla Anglii.

Olbrzymi wiec Rusinów we Lwowie.

Sprawa projektowanej przez rząd reformy wyborczej na zasadzie powszechnego głosowania wywołała w Galicyi ogromnie żywy ruch wiecowy. Szczególniej Rusini, którzy obawiają się, aby rząd pod wpływem konserwatywnego Koła polskiego nie ustanowił dla Galicyi jakichś odrębnych i wyjątkowych przepisów, zwłaszcza zaś, by nie zaprowadził wyborów powszechnych, ale nierównych, urządzają w całej Galicyi setki wieców i domagają się na nich wyborów powszechnych, równych, tajnych i bezpośrednich.

W piątek 2 bm. zaś urządzili Rusini dwa olbrzymie wiece w tej samej sprawie we Lwowie. Jeden z nich odbył się na Wysokim Zamku i tam zebrali się Ukraińcy, drugi w Domu narodnym, gdzie obradowali Starorusini (moskalofile). Większość zebrała się na Wysokim Zamku a liczbę obecnych podają na 20.000 ludzi. Istotnie ilość wiecowników była tam ogromna. Cały duży plac zamkowy, gdzie odbywają się zwykle festyny, wypełniony był szczelnie. Przybyli bowiem nietylko chłopi ruscy z okolicy Lwowa, ale z całej Galicyi wschodniej; reprezentowane były wszystkie powiaty tej części kraju. Widok więc tego wiecu był wcale piękny, a przyczyniała się do tego głównie rozmaitość strojów ludowych. Najpiękniejsze stroje mieli Huculi, mieszkańcy gór w okolicy Nadwórnej, Kołomyi itd. Inteligencyi było niewiele; gubiła się ona zupełnie w masie włościan.

Same obrady wiecowe nie przedstawiały poważniejszej wartości. Po za zwyczajnem narzekaniem na rzekomy ucisk Rusinów ze strony Polaków, po za domaganiem się powszechnych wyborów, nie było na owym wiecu nic, coby zasługiwało na szczególną wzmiankę. Obradom przewodniczył tu adw. dr. Kost' Lewicki, referat główny wygłosił poseł dr. E. Oleśnicki. Prócz tego przemawiało kilku włościan i kilku księży ruskich, którzy na dzień ten licznie do Lwowa się zjechali, a którzy i w całej akcyi agitacyjnej biorą bardzo żywy udział.

Przebieg wiecu moskalofilów, którzy obradowali w sali i na dziedzińcu Domu narodnego, był mniej więcej ten sam, a tylko osoby były inne.

Po obu wiecach rozchodzili się uczestnicy spokojnie, jakkolwiek ogólnie spodziewano się we Lwowie w tym dniu nadzwyczajnych rzeczy. Policya była skonsygnowana ogromnie licznie, również wojsko — piechota i konnica — stało w pogotowiu. Do interwencyi jednak nie było powodu.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotograficzne z wiecu na Wysokim Zamku (na str. 16).



Barykady w kościołach: Przed kościołem św. Klotyldy w Paryżu ajenci policyjni rozpędzają tłum pobożnych, który przeszkadza władzom świeckim spisywać inwentarz kościelny.

Ostrożności stanu wojennego.

Załączona tu illustracya przedstawia wejście frontowe do gmachu pocztowo-telegraficznego przy ul. hr. Kotzebue'go w Warszawie, z ustawioną przy skrzynce pocztowej wartą wojskową. Podobnie strzeżone są wszystkie gmachy pocztowe i telegraficzne tak na zewnątrz jak i wewnątrz, gdzie w hali kilku żołnierzy piechoty z karabinami czuwa nad porządkiem i bezpieczeństwem interesantów jakoteż samych urzędników. Ostrożności te podyktowane są obawą przed napadami anarchistów i komunistów, jakie w ostatnich czasach tak licznie zdarzały się w Warszawie i na prowincyi, gdzie dokonywano rozbijania składów rządowych, monopolowych, urzędów gminnych, kolejowych, posterunków żandarmskich, a nawet kas powiatowych.

Wraz ze spodziewanem już niedługo zniesieniem stanu wojennego, przejdą obrazy podobne do historyi, dla której użytku utrwalamy je tymczasem w illustracyi. *B-t.*

Barykady w kościołach.

Rząd francuski, przeprowadziwszy po długich debatach ustawę o rozdziale Kościoła od państwa, zabrał się teraz do inwentaryzacyi, to znaczy do spisu inwentarza w kościołach. Już samo zerwanie konkordatu z Watykanem, następnie ustawa o rozdziale, wywołały w całej katolickiej Francyi łatwo zrozumiałe oburzenie, które wzmogło się jeszcze



W Carskiem Siole: Huzarzy leibgwardyi, stanowiący przyboczną straż cesarza rosyjskiego.



Barykady w kościołach: Wnętrze jednego z kościołów paryskich z zatarasowanem wejściem do zakrystyi, do której katolicy nie chcą wpuścić spisujących inwentarz urzędników.



Fot. T. Jabłoński Kraków.
Nowy dyrektor magistratu krakowskiego: Władysław Grodyński.

bardziej teraz, w chwili wykonywania nowej ustawy. Władze obawiając się, że księża wartościowe przedmioty liturgiczne poukrywają, że więc spis inwentarza nie będzie dokładny, ogłosiły niedawno, że urzędnicy będą podczas inwentaryzacyi otwierać cyborya i spisywać wszystkie monstrancye i kielichy. Wiadomość ta musiała do żywego rozdrażnić katolików francuskich, którzy nie mogli przecież patrzeć na to, by z naczyniami do mszy św. służącemi obchodziły się władze świeckie jakby z inwentarzem jakiegoś urzędu: zawrzało więc we Francyi jak w ulu.

Duchowieństwo francuskie, wychodząc z założenia, że postępowanie władz jest gwałtem i zamachem na prawa Kościoła, zastrzegło się przeciw czynnemu swemu udziałowi w inwentaryzacyi. Księża postanowili asystować przy spisie inwentarza jedynie w charakterze osób prywatnych, ażeby urzędową swą obecnością nie spowodować mniemania, iż niejako sankcyonują gwałty rządu. Na to oświadczenie rząd odpowiedział groźbą najsilniejszych zbrojnych represyi, co wywołało jeszcze większe wrzenie wśród ludności katolickiej.

Nic dziwnego, że podczas inwentaryzacyi dochodziło w wielu kościołach do protestów i zaburzeń, przy których nie wahano się wprowadzać do świątyń policyi i żandarmeryi. Jak tylko gdzieś ogłoszono termin inwentaryzacyi, zbierały się w kościołach o oznaczonej godzinie tłumy pobożnych, które przy śpiewie pieśni, wśród modłów oczekiwały urzędników, mających dokonać spisu inwentarza. Zachowanie się tych urzędników było zaś często tak prowokujące, że do zajść przyjść musiało.

W ubiegłym tygodniu był Paryż kilka razy widownią formalnej walki katolików z władzami i z policyą, chroniącą urzędników przeznaczonych do dokonania inwentaryzacyi. Zajścia te przybrały w niektórych kościołach olbrzymie rozmiary, zwłaszcza w kościele św. Klotyldy i św. Piotra, gdzie pobożni zgromadzeni w świątyni staczali z policyą i z gwardyą republikańską formalne walki na barykadach. Przed kościołem św. Piotra zebrał się był tłum liczący przeszło 10.000 głów. Policya, widząc, że się zanosi na rozruchy zaczęła tłum rozpędzać (jak to widać na naszej rycinie) a wtedy zebrani w kościele zatarasowali drzwi i zamknęli się. Gwardziści wyłamali drzwi i rzucili się do wnętrza świątyni. Ale znowu napotkali na opór. Świątynia cała była bowiem zabarykadowana, żeby utrudnić urzędnikom dostanie się do zakrystyi. Takie barykady wewnątrz kościoła widać właśnie na drugiej naszej rycinie. Dopiero po długiej walce, w której kilkanaście osób zostało zranionych, udało się gwardyi i policyi wyprzeć tłum z kościoła.

Nowy dyrektor magistratu krakowskiego.

Magistrat krakowski pozyskał w ubiegłym tygodniu nowego dyrektora. Jest nim p. Władysław Grodyński. Wybór jego na to tak ważne stanowisko spotkał się z ogólnem uznaniem. Nowy dyrektor wyszedł bowiem z grona urzędników naszego magistratu.

P. Władysław Grodyński, którego portret zamieszczamy obok, rozpoczął swoją karyerę urzędniczą w magistracie krakowskim i przechodził kolejno wszystkie szczeble, zanim doszedł do najwyższego stanowiska, jakie może urzędnik miasta Krakowa osiągnąć. Odznaczał się zawsze sumiennością i energią, a wrodzone zdolności ułatwiały mu pozyskanie sobie uznania tak u kolegów, jak i u przełożonych. W ostatnich czasach, jako radca magistratu, przydzielony został do prezydyum, gdzie mu powierzono najważniejsze referaty, dotyczące rozszerzenia miasta, pożyczki inwestycyjnej, zarządzeń sanitarnych itp. Sprawy te zostały już po większej części pomyślnie dla gminy załatwione. Wtedy to okazały się zdolności p. Grodyńskiego w całej pełni, a następstwem tego było powołanie go na dyrektora magistratu. Czekają go tam obecnie ważne prace, przy których współdziałanie dyrektora jest konieczne. Nie ulega wątpliwości, że p. Grodyński postara się o harmonię w pracy między sobą a kolegami, na których czele stanął; znajomość miasta i jego potrzeb, znajomość swoich podwładnych, pozwolą mu też urzędowanie w magistracie zmienić na lepsze. Tego po nowym dyrektorze oczekuje publiczność krakowska.

W Carskiem Siole.

Przypominają sobie Czytelnicy, jak fatalny wypadek zdarzył się przed rokiem w Petersburgu, w czasie uroczystości Jordanu, kiedy to na zamarzniętej Newie, po poświęceniu przez metropolitę wody, co ma według zwyczajów cerkwi prawosławnej być pamiątką chrztu Chrystusa — strzelono z jednego działa zamiast ślepym, ostrym nabojem, który ugodził w sam pawilon cesarski. Nie dziw tedy, że jakkolwiek wówczas obeszło się bez katastrofy, nie urządzono już w tym roku owej parady w samym Petersburgu, tylko poprzestano na domowej uroczystości w Carskiem Siole. Dostojnicy duchowni poświęcili tradycyjnie wodę nad stawem przed jednym z pałaców cesarskich — jak widzimy na załączonej poniżej rycinie — w obecności Mikołaja II. i kilku wielkich książąt. Obok widać dowódcę pałaców cesarskich Trepowa, w którego rękach, jak wiadomo, spoczywa bezpieczeństwo monarchy, a o którym świeżo krążyły pogłoski, że niebawem ma opuścić Carskie Sioło i zająć jakieś inne wysokie stanowisko, a między innymi wymieniano go nawet jako kandydata upatrzonego na generał-gubernatora warszawskiego. Prawdopodobnie jednak pozostanie generał Trepow nadal przy osobie Mikołaja II., nad którego życiem w tych niebezpiecznych czasach polecono mu czuwać i w tym celu dano mu do rozporządzenia wszelkie straże przyboczne cesarza. Druga nasza rycina na poprzedniej stronie przedstawia właśnie grupę huzarów lejbgwardyi z Carskiego Sioła.



Fot. Pierzchalski.
„Proszę o grosz na szkołę ludową!“
Weteran z r. 1863 z puszką Tow. Szkoły ludowej, do której dotychczas zebrano w Krakowie 22 tysiące koron na szkołę polską w Leszczynach.



Mikołaj II. Wielcy książęta. Gwardya pałacowa. Trepow.
W Carskiem Siole: Zdjęcie fotograficzne tegorocznej uroczystości Jordanu na dworze cesarza rosyjskiego.

Wiktor Barabasz.

W chwili kiedy Krakowskie Tow. muzyczne otwiera podwoje nowej, wspaniałej, naprawdę godnej siebie siedziby wraz z piękną salą koncertową; w chwili, kiedy po kilkudziesięcioletniej tułaczce po wynajmowanych, mniej i więcej celom krzewienia sztuki i wiedzy muzycznej odpowiednich lokalach — dopłynęło co prawda nie do własnego — lecz odpowiedniego sobie pomieszczenia — godzi się przyjrzeć się bliżej temu, który stojąc na czele jednej z dwu najpoważniejszych instytucyj muzycznych w kraju, pracuje około dobra i krzewienia w starym grodzie Kraka kultury muzycznej. Osobistość to znana w Krakowie, zżyta z jego stosunkami muzycznemi a jako taka, otoczona też należytem poważaniem i sympatyą.

P. Wiktor Barabasz chociaż ujrzał światło dzienne w Bochni (30/8 1855) jest nawskróś Krakowianinem, przywiązanym zarówno do jego murów jak i tradycyj szczerze i gorąco. Czas „sielski i anielski“ upłynął mu wśród tych świadków najświetniejszej przeszłości naszej drogiej, skołatanej walkami ojczyzny, tu pod kierunkiem wybornych pedagogów, Antoniego Płacheckiego, a następnie i Kazimierza Hofmanna. Tu zapoznawał się zarówno z tajnikami pierwszych niemowlęcych kroków po klawiaturze a następnie z arkanami gry wirtuozowskiej. Sztuka, jej tajniki — konieczność zdobycia techniki — a przedewszystkiem chęć ugruntowania wiedzy muzycznej — kazały młodemu adeptowi ciernistej drogi każdego muzyka polskiego — opuścić pielesze domowe i ukochane mury ojczystego grodu i wyjechać nad modre fale Dunaju. Utalentowanym Krakowianinem zajęli się profesorowie Dachs, pianista i bardzo wówczas ceniony pedagog wiedeński — tudzież prof. Kren z którym gruntował Barabasz wiedzę muzyczno-teoretyczną. Cennemi wskazówkami przyczynił się wiele znakomity rodak ś. p. Emil Śmietański. W roku 1876 wraca Barabasz do Krakowa i rozpoczyna pracę muzyczno-pedagogiczną, obejmuje naukę muzyki w żeńskiem seminaryum nauczycielskiem, tudzież kierownictwo chóru akademickiego, którego jest twórcą i założycielem.



Wiktor Barabasz.

Barabasz nie poprzestawał na zajęciu dyrygenta. W licznych wycieczkach chóru występował w charakterze pianisty a wysoka jego muzykalność i bardzo poprawne przygotowanie techniczne, uczyniło go pożądanem zjawiskiem na estradzie koncertowej. Niestety zrażony żądłami niepowołanej krytyki, szukającej zadośćuczynienia nic ze sztuką wspólnego niemającej animozyi, osobistej animozyi, zaniechał karyery wirtuoza i oddał się wyłącznie pracy pedagogicznej i dyrekcyi chóru w Krakowie — zaś występy wirtuozowskie kontynuował tylko za granicą, grając z wielkiem powodzeniem w Warszawie, Wilnie, Petersburgu itp.

W r. 1886 otwarło się nowe pole działalności dla Barabasza. Po ustąpieniu z naczelnego stanowiska w Krakowskiem Tow. muzycznem ś. p. Stanisława Niedzielskiego, powołał go wydział na dyrektora Tow. muzycznego. Tu młody i czynny kierownik zabrał się gorąco do pracy i w ciągu krótkiego czasu wystawił takie dzieła, jak „Samson“ Händla, „Requiem“ Mozarta, „Walpurgę“ Mendelsona, „Chrystusa“ Bacha, „Sonety Krymskie“ Moniuszki, „Świeziankę“ Noskowskiego i wiele, wiele innych dzieł — całą litanię — wysokiej wartości muzycznej i artystycznej. Do dziś jeszcze tkwią w pamięci Wieczory muzyczno-historyczne, urządzanie przezeń jako koncerty Tow. muzycznego z całym olbrzymim szeregiem dzieł z ubiegłych epok twórczości muzycznej, wykonanych z pietyzmem i gorącą starannością.

Kiedy zamknięto stary teatr przy placu Szczepańskim, marzył Barabasz ciągle nad zrekonstruowaniem starej budy — na nowy przybytek, poświęcony muzyce, wiedząc, iż w naszych trudnych stosunkach ani marzyć nie można o sali koncertowej, wybudowanej na własnym gruncie za własne pieniądze. Udawał się do ówczesnego prezydyum miasta kilkakrotnie ale bezskutecznie. Lecz wytrwały i cichy pracownik nie ustał w zabiegach, złożywszy projekt swój w energiczne ręce dzisiejszego prezesa Tow. muzycznego rektora Krzymuskiego, który dołożył energicznych i pełnych ofiarności starań i ostatecznie instytucyę, pozostającą pod swym patronatem — odpowiednio ulokował.

P. Barabaszowi życzymy szczerze powodzenia w pracy i zabiegach pod tą nową strzechą.

— *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył: M. S.

25 Ciąg dalszy.

— Drogo mi pan za to zapłacisz! Proszę o pańskie nazwisko!...

Wszyscy umilkli i spoglądali ciekawie na Amerykanina, który przez chwilę zawahał się z odpowiedzią. Chwilowe uniesienie wprowadziło go w bardzo przykrą sytuacyę. Zrozumiał, że musi wymienić swe nazwisko, a poczucie honoru i wrodzona prawdomówność nie pozwalały mu przedstawić się pod przybranym pseudonimem. Zarazem jednak czuł dobrze, że całe śledztwo może być stracone, gdyby dalej nie zachował swojego incognita i postanowił raczej skłamać, jak zepsuć całe przedsięwzięcie. Wymienił więc swoje fałszywe nazwisko i dodał, że mieszka w hotelu „pod złotym lwem“, gdzie będzie oczekiwał na świadków przeciwnika.

— Dobrze! — rzekł Cezar, skinąwszy głową — wkrótce posłyszy pan o mnie!...

I to rzekłszy, nie patrząc więcej w stronę inżyniera, opuścił restauracyę z dwoma przyjaciółmi, a Archer tak samo coprędzej udał się wprost do hotelu, gdzie jak szalony biegał po pokoju i myślał o tem, co przed chwilą usłyszał o Helenie. Nie chciał uwierzyć w winę ukochanej, ale serce ściskało mu się na myśl, że przecież te plotki musiały mieć jakąś podstawę, a fakt, że Berman jeszcze nie powrócił, dokuczał mu jeszcze bardziej, bo nie miał się przed kim zwierzyć, nie miał z kim pomówić o tem zajściu. A przy tem wszystkiem nie bez racyi sądził, że komisarz powinien także wiedzieć już o tych rzekomych zaręczynach Heleny z Cezarem, o tem jakiemś tajemniczem uprowadzeniu, czy też ucieczce, na podstawie której obrzucono jego ideał błotem bezwstydnych dowcipów.

Po długiej rozłące.

Cierpliwość Amerykanina musiała jednak być wystawioną na długą próbę, bo komisarz Berman późno po południu zjawił się w hotelu, a przytem miał wcale nie wesołą minę. Rzecz prosta, że humor nie poprawił mu się wcale, gdy Archer opowiedział, co go spotkało.

— W tym wypadku postąpiłeś pan nierozważnie! Popełniłeś pan nawet głupstwo, mój kochany inżynierze — rzekł komisarz, gdy Amerykanin skończył swe opowiadanie. — I to zmusi mnie, aby pracować na własną rękę, bo z pańskiej pomocy nie mogę już korzystać! A przytem wystąpienie pana wobec młodego Springera było całkiem bezpodstawne, niczem nieusprawiedliwione, bo to, co słyszałeś, jest, o ile wiem, istotną prawdą!...

Inżynier jęknął głucho. Temu człowiekowi nie mógł przecież powiedzieć, że kłamie, bo ten człowiek przybył tylko po to, aby prawdę na jaw wydobyć! Komisarz nie mówiłby o tem, jako o rzeczy dokonanej, gdyby nie zbadał wszystkiego dokładnie!

A Berman czasu nie tracił na darmo. Najpierw — tak opowiadał Archerowi — zapoznał się z Franciszkiem Springerem i, zupełnie jak się spodziewał, został odesłany przez niego do adwokata Harrasa, gdyż ten był upoważniony do sprzedaży domu. Komisarz udał się do doktora, a choć rozmawiał z nim krótko, choć wypytywał się tylko o stosunki miejscowe, odrazu poznał, że ma do czynienia z człowiekiem tak chytrym, przebiegłym a zarazem umiejącym dać sobie radę w najtrudniejszem położeniu, że trzeba było stracić wszelką nadzieję, aby wydobyć od niego zeznania dobrowolne. O familijnych stosunkach Springera nie było prawie mowy, lecz doktor Harras sam wspomniał, że jego klient dlatego zamierza sprzedać starą siedzibę swych ojców, ponieważ jego syn bierze w najbliższym tygodniu ślub ze swą kuzynką i chciałby ułać sobie gniazdko w jakimś weselszem, jaśniejszem mieszkanku. Po tej konferencyi, którą komisarz umiał przedłużyć o tyle, o ile tego potrzebował, udano się celem oglądnięcia domu do Springerów i wtedy dopiero Berman zapoznał się z całą familią.

— Pani domu — opowiadał komisarz — zrobiła na mnie jeszcze gorsze wrażenie, niż sam Springer i ręczę, że, jeśli tylko popełniono tu jaką zbrodnię, to ona musiała brać w niej udział. Córeczka także mi się nie podobała, a już nie chcę nawet wspominać o synu, z którym widziałem się bardzo krótko, bo zaraz prawie po mem przybyciu poszedł do miasta, zapewne na to śniadanko, któreś im pan tak niezgrabnie przerwał, panie inżynierze!...

— A Helena? — przerwał Fred z trwogą — czy pan jej nie poznałeś? Czy szczęśliwa? Czy wspomniałeś pan o mojej prośbie? Kiedyż ja ją zobaczę?...

— Tyle pytań naraz! Łaskawy inżynierze, chwileczkę cierpliwości, a odpowiem na wszystko po kolei! Tak! Pannę Helenę Springer widziałem i przyznać muszę otwarcie, że przedstawiono mi ją jako narzeczoną pana Cezara Springera, lecz... nie wygląda ona wcale na szczęśliwą narzeczoną i niezbyt swojsko musi być jej w tem familijnem kółku, chociaż wszyscy zachowują się wobec niej z uprzedzającą grzecznością!

— A moje zlecenie? Moją prośbę, abym mógł z nią pomówić, czy pan załatwiłeś, panie komisarzu?

— Cierpliwości, kochany panie! I do tego jeszcze przyjdziemy! Umiem brać się do rzeczy i istotnie na małą chwilkę mogłem pomówić z nią sam na sam i szepnąłem jej szybko:

— „Miałbym pani powiedzieć coś o nieboszczyku ojcu. Czy nie mógłbym się w tym celu zobaczyć z panią“?

A ona spojrzała mi bystro w oczy i rzekła krótko:

— „Jeśli pan chcesz coś dobrego powiedzieć o mym ojcu, to proszę, mów pan otwarcie, przy wszystkich ludziach“!

Znalazłem się w głupiem położeniu, bo przecież nie mogłem dawać jej bliższych wyjaśnień tam, w tej lisiej jamie, gdzie każdej chwili mógł nas ktoś podsłuchać. Mogłaby się była przelęknąć, krzyknąć, lub samo jej wzruszenie wzbudziłoby podejrzenie, a właśnie tylko ścisłe me incognito i zaufanie, jakie potrafiłem sobie zdobyć wśród całej familii, pozwoli mi wyłowić lisy w ich jamie. Więc też ograniczyłem się do tego, że odpowiedziałem:

— „Zdaje się, że to będzie dla pani pożądana wiadomość, ale dotyczy ona panią osobiście i tylko pani mogę ją powiedzieć, a jest tak ważną, że kwadrans czasu może mi pani poświęcić. Tę wiadomość przysyła pani pewien przyjaciel z Ameryki, a ja — ja mieszkam w hotelu „pod złotym lwem“!...

— Świetnie! I jakąż odpowiedź otrzymał pan na to!?...

— Żadnej nie otrzymałem, mój drogi! Jeszcze raz tylko spojrzała mi w oczy, ale tak badawczo, jakby na wskroś chciała mnie przejrzeć i wymknęła się z pokoju. A tymczasem wziął mnie znów w obroty pan Franciszek Springer, który, jak mi się zdaje, z gustem pozbyłby się tego domu...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ujęcie handlarza dziewcząt.

Najwstrętniejszym procederem i sposobem zarobkowania, jaki sobie wogóle można wyobrazić, jest niewątpliwie handel żywym towarem, handel dziewczętami. A kwitnie on, niestety, w kraju naszym na dużą skalę, mimo akcyi rozwiniętej przeciw niemu nietylko przez władze, ale i społeczeństwo same. Rok rocznie wywożą ajenci, pośredniczący w tego rodzaju handlu, mnóstwo młodych i pięknych dziewcząt w dalekie, obce strony, obiecując im korzystne posady, a w rzeczywistości skazując je na hańbę w domach publicznych. Jeden właśnie z tego rodzaju handlarzy wpadł przed kilku dniami w ręce policyi lwowskiej. Nazywa się on rzekomo Józef Libo, a wedle znalezionych przy nim papierów, ma być synem Lejby Rosenzweiga, poddanego rumuńskiego z Turcyi, i stale mieszka w Konstantynopolu, gdzie, jak badania wykazały, jest pośrednikiem handlu żywym towarem i stoi na żołdzie tamtejszej spółki kuplerskiej. W Galicyi ładnym dziewczętom obiecywał rentowne posady w Turcyi. Działalność taką rozwijał w Stryju, w Kałuszu itd. We Lwowie próbował nawet szczęścia u pewnej panny z uczciwej izraelickiej rodziny i starał się oficyalnie o jej rękę, panna jednak nie miała zaufania do Liby i mimo namów rodziców, nie chciała się dać nakłonić do małżeństwa z nim. W Stryju miał więcej szczęścia w miłości, zamiarów swych jednak nie mógł wypełnić, ponieważ w międzyczasie został we Lwowie uwięziony.

Libo, któremu mogą się czytelnicy przypatrzyć na załączonej fotografii, włada kilku językami, a to po żydowsku (żargonem), arabsku, turecku i angielsku. Po polsku nie mówi, a przynajmniej wypiera się tego. Zdaje się jednak, że jest to nieprawda, i że Libo pochodzi z Galicyi. Świadczy o tem sama znajomość tutejszych stosunków. Policya lwowska odstawiła Libę do sądu karnego.

LUDWIK STASIAK.

Reprezentant redakcyi

Humoreska z opowiadań analfabety.

2 (Dokończenie)

— Oto członek naszej redakcyi, Stanisław Sikora. Ja wpadnę o trzeciej.

Znikł jak kamfora. Mnie otoczyło kilku panów. Wzięli mię pod rękę, wprowadzili do sali. Co za wspaniałości! Obrusy białe, kwiaty, butelki kolorowe. Na butelkach główki złote, srebrne, rubinowe, dyamentowe. Zbliżył się do mnie jakiś pan, którego nazywano hrabią, ukłonił się i rzekł do mnie:

— Jestem Władysław Ostojewski, właściciel dóbr i marszałek powiatowy.

Nie pozostałem mu dłużny w odpowiedzi:

— Jestem Stanisław Sikora, pomocnik stróża w Wadowicach.

Hrabia patrzył się na mnie dziwnie. Uśmiechnął się i mówi życzliwie:

— Pan nawet na bankiecie fejletonowe dowcipy pisze.

— Ależ ja nic nie piszę, panie hrabio, bo pisać nie umiem.

— Skromność panie, skromność. No, napijmy się wódki. Nalać panu kieliszek?

— Wolałbym szklankę.

Dziwnie spojrzał na mnie hrabia. Patrzył chwilę, postawił butelkę, udał, że z kim innym rozmowę zaczyna i opuścił mię czemprędzej.

Tymczasem zawezwano nas do stołu. Gospodarz zebrania wziął mnie pod rękę i posadził naprzeciw hrabiego. Obok mnie siedział pan ze siwą brodą, z drugiej strony jakiś wojskowy łysy, jak kolano. Zaczyna ze mną rozmowę:

— Jeśli się nie mylę, to pan brałeś udział w kongresie dziennikarskim w Brukseli.

— Nie, panie.

— Nie?! A przecie miałem w rękach zaproszenie, wystosowane do waszej redakcyi.

— Byłem w istocie zaproszony.

— Do Brukseli na kongres?

— Nie. Do Kalwaryi na chrzciny do kościelnego.

Sąsiad mój z prawej przerwał ze mną rozmowę, nawiązał ją zaś sąsiad z lewej. Ten pod koniec śniadania pyta mi się:

— Zna pan Włochy?

— Znam.

— Co się panu bardziej podoba, Wenecya, czy Neapol?

— Najbardziej podobają mi się Myślenice.

— Mówimy o Włochach.

— Bo ja też Włochów w Myślenicach widziałem.

— W Myślenicach?! Cóż oni tam robili?

— Jeden chodził z małpą, inni stawiali most żelazny.

Wytrzeszczył oczy na mnie i zamilkł.

Gdyśmy po czarnej kawie wstali od stołu, przyniósł gospodarz wielką, w aksamit oprawną tekę, położył ją na stole i mówił:

— Oto pamiątkowa księga naszej firmy. Uprzejmie proszę, abyście panowie zechcieli w niej położyć cenne swe imiona. Będą one dla nas zawsze pamiątkami minionych, uroczystych chwil Przedewszystkiem racz pan podpisać, panie redaktorze. Między mną a pańską redakcyą była śmiertelna waśń. Dotąd była straszliwa nienawiść, niechże teraz będzie zgoda. Puśćmy przeszłość w niepamięć. Podpisz pan ten dokument.

— Kiedy ja pisać nie umiem.

— Co?! Jakto? Jesteś pan dziennikarzem i pisać nie umiesz.

— Nie jestem wcale dziennikarzem.

— Czemże pan jesteś?

— Pomocnikiem stróża w Wadowicach.

— Ależ to być nie może. Wprowadził pana przecie redaktor.

Hrabia wtrącił:

— Jako członka redakcyi przedstawił.

— Czyż to żarty straszliwe?

— Ależ to być nie może! Czemże pan jesteś?

— Pomocnikiem stróża w Wadowicach.

— To nieprawda!!

Wyjąłem z kieszeni moją służbową książeczkę, wystawioną przez gminę, podpisaną przez wójta.

— Oto dowód.

Całe towarzystwo rzuciło się, aby książkę moją oglądać. Zgiełk okropny, ja zaś, widząc, że więcej już jeść nie dadzą, wyniosłem się. Na schodach dolatywały mię okrzyki:

— Zadrwił z nas!

— Okropnie z nas zakpił!!

— Na urągowisko stróża nam posłał!

— Ależ to niesłychane!

— Bezczelność, która granic nie ma!!

W ową właśnie chwilę, gdy cała sala wrzaskami gniewu i przekleństwa wrzała, wszedł na salę główny redaktor. Ale nie bawił tam długo. Dogonił mię, choć ja wolno schodami szedłem. Bo ja opuściwszy drzwi hotelu, uszedłem dwa kroki, gdy on już przedemną na ulicy się zjawił. Zjawił się tak prędko, bo leciał nie schodami, ale oknem...

Koniec.

Rozwiązanie zagadek Nr. 4.

Arytmogryf.

Lucyan Rydel.

ZAGADKA.

Konferencya w Algesiras.

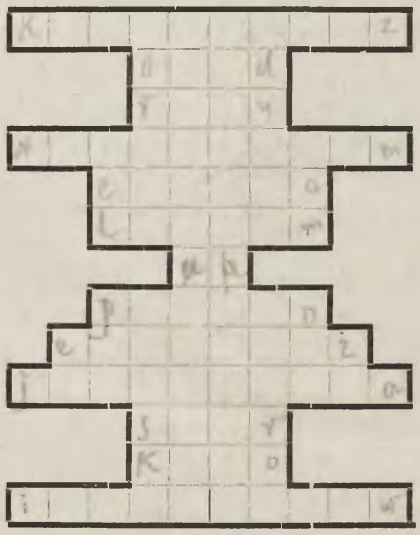
Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Fr. Niepokój i Tow. »Zgoda“ Krosno, J. Rodakowska Kulików, M. Świtkowska Kraków, Siła Nowiccy Sokal, F. Jeleński Nowy Targ, H. Szczerbowa Majdan, Wł. Dobrowolski Mościska, Bl. Pieterkiewiczówna Czerniowce. Zosia Tomaszewska Kraków, Halka Feurówna Kraków, St. W. Andrysik Dąb, H. Karatnicka Nadwórna, J. Wesoła Lwów, K. Fuchs Peczyniżyn, J. M. Żankowski Popielniki, M. Rożański Gorlice, St. Gajdeczka Zapałów, H. Mokrzycka Turbia, E. Bogdalski Koropuż, A. St. Bassara Niwiska, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Opolska Czarny Dunajec, I. Talaga Stale ad Tarnobrzeg, St. Szwabowicz Żurawno, K. Kaniowski Zielona, J. Wróbel Łękawica, M. i S. Czaplickie Skierniewice, J. M. Kudas Krempna, T. Domam Sanok, Wł. Nowiccy Wiśnicz, A. Surowiecki Kraków, M. Arbesbauer Lwów, Al. Bocsoń Bóbrka, J. Robak Kraków, J. Badura Roździeń, S. Suchomel Tatarów, K. Reiter Stanisławów, A Mieses Przemyśl, A. Zimer Mikulińce, S. Samueli Limanowa, E. Füllerówna Rzeszów, H. Psarska Tarnów, J. Kuczericzka Hladki, Br. Weismanówna Limanowa, Kółko rolnicze Majdan zbyd, L. Świeżawska Gładyszów, L. Fortuna Kęty, Czytelnia i resursa mieszczańska Kęty, J. Ramoszyńska Borysław, H. Ulrych Malin, E. Andrysik Kraków, J. Bielawski Brzeżany, H. Zielińska Manajów, St. Waśniewski Kossów, Z. Iwanowicz Kołomyja, B. Moszyński Drohobycz, J. Duszyński Niepołomice, J. Jadach Przemyśl, T. Ćmierz Przeworsk, A. Miłkowski Bełz, H. Plechawska Stanisławów, P. Nowiński Tarnów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymała przez losowanie p. **Jadwiga Rodakowska** w Kulikowie. — Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przeyłki.

Zagadki do nagrody.

Kryptogryf.

Ułożył E. Illubiewicz, Sambor.



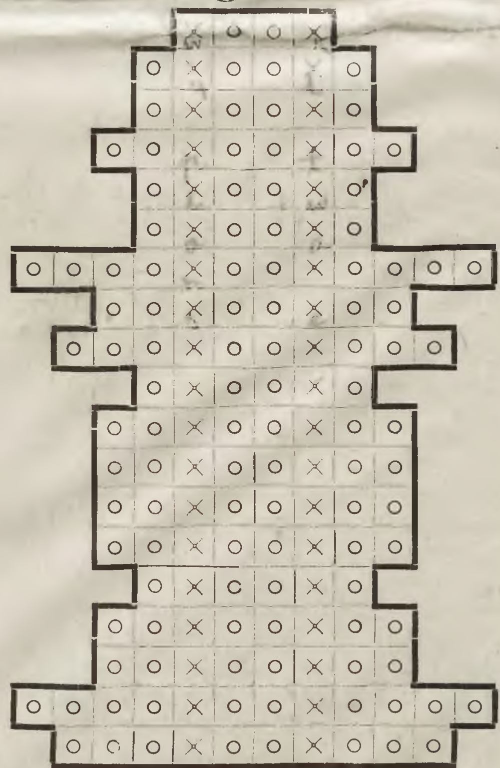
Powyższe kwadraciki wypełnić literami tak, aby poszczególne wyrazy dały następujące zdania:

1. Zwyczajny tytuł lekarza. 2. Zwierzę z typu stawowatych. 3. Zwierzęta wodne. 4. Powieść Orzeszkowej. 5. Gatunek poezyi opisowo-lirycznej. 6. Zakład naukowy. 7. Samogłoska i spółgłoska. 8. Owoc. 9. Miejsce ustronne w parku. ulubione zwłaszcza w wieku XVIII. 10. Żona oficera wysokiej rangi. 11. Inaczej kłótnia. 12. Figura geometryczna. 13. Miasto w Wielkopolsce.

Początkowe i końcowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko poety, oraz pierwsze słowa znanej pieśni patryotycznej przezeń napisanej.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których się składają potrzebne wyrazy: by. ce, cław, e, e, gie, i, jabł, je, ko, ko, kon, le, li, liarz, ło, ło, mi, mnem, nad, ne, nie, no, o, p. ra. re, ry, spór, sy, taż, u, um, wa, wad, wro.

Zagadka.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały w jednym rzędzie imię i nazwisko współczesnego poety polskiego, w drugim zaś rzędzie tytuły trzech jego dramatów.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwa stulecia. 2. Nazwisko wróżki u starożytnych. 3. Ryba. 4. Członek redakcyi zajmujący się kroniką. 5. Sławna stolica Assyryi. 6. Kraj w Indyach wschodnich. 7. Dwa miasta w Rosyi, jedno nad Dźwiną, drugie nad rzeką Zhar, dopływem Bohu. 8. Inaczej szybkość. 9. Obwód w angielskiej wschodnio-indyjskiej prowincyi Bengalu. 10. Miasto w Westfalii nad Hozerą. 11. Rodzaj roślin z rodziny roślin szyszkowatych. 12. Miasto w Holandyi. 13. Sole kwasu siarkowego. 14. Stolica rzeczypospolitej murzyńskiej Liberyi w Afryce. 15. Prowincya w Egipcie górnym. 16. Książęcy ród na Litwie, wywodzący się od Rurykowych. 17. Żołnierz konny w dawnem wojsku polskiem, który dawał hasło do uderzenia na nieprzyjaciela. 18. Państwo, które w 18 wieku straciło niepodległość. 19. Tytuł głośnego dramatu poety, którego imię i nazwisko tworzy pierwszy rząd gwiazdek w powyższej zagadce.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy zgłoski, z których się składają powyższe wyrazy: bi, ba, ckar, dam, den, dźwińsk, gand, i, ka, kierz, la, le, li, li, ma, mar, mi, min, mon, nek, ni, ni, nie, niech, ny, pał, po, po, pol, por, pstrąg, re, ro, ro, sal, siar, ska, ski, sło, spiech, sy, ter, ter, twa, tyn, wa, war, wia, wy, wiek, zwo.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya **wspaniały tort ponczowy** z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.